

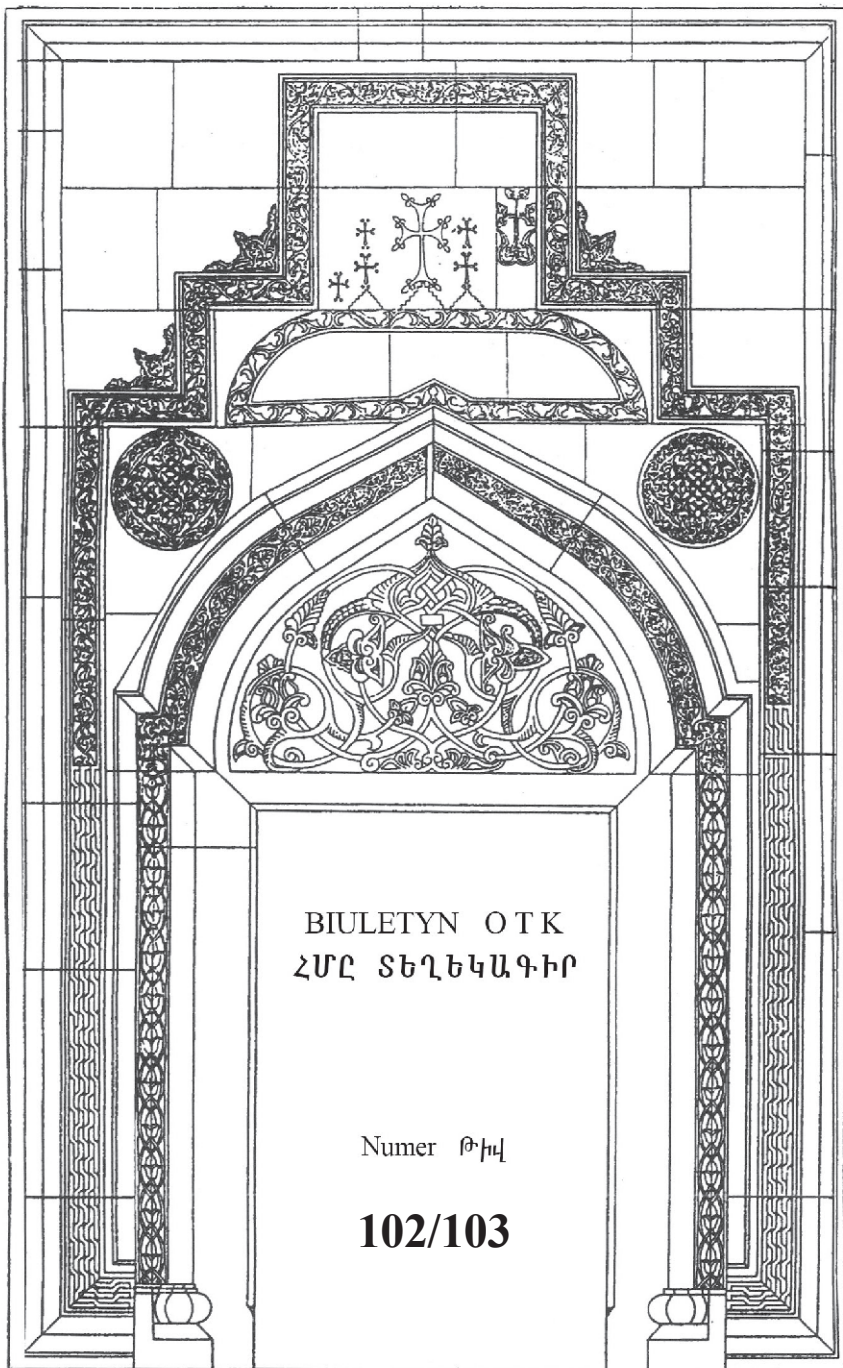
BIULETYN
ORMIAŃSKIEGO
TOWARZYSTWA
KULTURALNEGO

ՀԱՅ ՄՇԱԿՈՒԹԱՅՆ
ԸՆԿԵՐՈՒԹՅԱՆ
ՏԵՂԵԿԱԳԻՐ

ISSN 1233-8605

NUMER 102/103 ԹԻԿ

KRAKÓW 2020 ԿՐԱԿՈՎ



BIULETYN OTK
ՀՄԸ ՏԵՂԵԿԱԳԻՐ

Numer ԹԻՎ

102/103



BIULETYN ORMIAŃSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURALNEGO

ՀԱՅ ՄՇԱԿՈՒԹԱՅԻՆ ԸՆԿԵՐՈՒԹՅԱՆ ՏԵՂԵԿԱԳԻՐ

W Biuletynie są publikowane relacje, wspomnienia, opinie, opracowania naukowe i inne utwory dowolnej formy, których tematyka jest związana z historią, kulturą i współczesnymi problemami Ormian i Armenii.

Copyright by Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne – Kraków 2020

Materiałów zamieszczonych w Biuletynie OTK nie można w żadnej formie reprodukować bez pisemnej zgody Wydawcy.

Kolegium Redakcyjne dr Jakub Osiecki (przewodniczący)
prof. dr hab. Krzysztof Stopka
prof. dr hab. Andrzej Pisowicz
Katarzyna Agopsowicz

Redakcja armenistyczna prof. dr hab. Andrzej Pisowicz

Adres Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne
ul. Studencka 2, lokal 3a
31–116 Kraków
www.otk.org.pl
otk@otk.org.pl

Konto bankowe Alior Bank 63 2490 0005 0000 4500 5287 9182

Projekt okładki Monika Żołoteńka

Szata graficzna Monika Żołoteńka

Skład Monika Żołoteńka

Druk Poligrafia Salezjańska
30–318 Kraków, ul. Michała Bałuckiego 8
<http://poligrafia.salezjanie.net>

ISSN 1233-8605 nakład: 300 egz.

Zrealizowano dzięki dotacji Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji

Od redakcji

Mijający rok z pewnością można zaliczyć do kategorii dramatycznych. Pomijając dywagacje na temat upływu czasu w ogóle, czy globalny kontekst pandemiczny, a skupiając się wyłącznie na ormiańskich kwestiach trzeba podkreślić, że rok 2020 zaczął się i skończył tragicznymi wydarzeniami. Na początku stycznia 2020 roku pożegnaliśmy prezesa Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego, Adama Kieniewicza. Prezes Kieniewicz pomimo już niemłodego wieku był działaczem bardzo aktywnym i tym samym zaangażowanym w wiele cennych inicjatyw. Jedną z ostatnich było wyjątkowe wydarzenie muzyczne. Dzięki środkom z Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa udało się Zarządowi OTK w 2019 roku zorganizować na dziedzińcu Collegium Maius koncert tradycyjnej muzyki ormiańskiej. W letni sierpniowy wieczór zabrzmiały ormiańskie szarakany i ludowe pieśni Komitasa. Ponadto Adam Kieniewicz był wielkim orędownikiem umieszczenia popiersia swojego przodka, wielkiego artysty Teodora Axentowicza, w Krakowie na nowo wyremontowanym placu imienia tegoż właśnie malarza. Ten projekt nie doczekał się jeszcze realizacji, ale jako Towarzystwo będziemy starali się kontynuować tę niedokończoną przez Adama Kieniewicza misję.

Warto wspomnieć, że Adam Kieniewicz zmarł w 2020 roku, roku, którego patronem w związku z uchwałą Senatu RP był wspomniany już dziadek Adama – Teodor Axentowicz. W związku z tym w Biuletynie znajdują Państwo artykuł Michała Pilikowskiego, który przybliży postać tego twórcy, rektora Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Ponadto w tym numerze umieściliśmy kilka jego mniej lub bardziej znanych portretów, którymi zasłynął w Polsce i w Europie. Dnia 30 listopada 2020 roku odbyła się on-line konferencja naukowa poświęcona krakowskim i ormiańskim wątkom w życiorysie Axentowicza. Konferencję zorganizowała nowa instytucja naukowa – Ośrodek Badań nad Kulturą Ormiańską w Polsce działający w ramach Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie.

W tym roku 17 listopada odszedł od nas także Andrzej Krzeczunowicz – polski Ormianin, wybitny patriota, który niemal całe swoje życie poświęcił dla dobra Polski. Początkowo działając w strukturach Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, a następnie jako dyplomata i polityk

zaangażowany był w działania na rzecz naszej ojczyzny. To jemu m.in. zawdzięczamy, że Polska dołączyła do grona członków sojuszu Północnoatlantyckiego (NATO). O Andrzeju Krzeczunowiczu przeczytają Państwo w artykułach Andrzeja Pisowicza i Macieja Koszutskiego.

Przez niemal cały październik i listopad obserwowaliśmy dramatyczne wydarzenia, które stały się udziałem Ormian, Ormian polskich i diaspory ormiańskiej na całym świecie. Dnia 27 września, niespodziewanie wojska Azerbejdżanu wtargnęły na obszar Republiki Górskiego Karabachu (Arcachu) i zmusiły Ormian do odwrotu. Po niemal 30 latach region ten znów stał się pretekstem do krwawego konfliktu między Ormianami, Azerami oraz Turkami. Ormianie z Karabachu zostali zmuszeni do ucieczki do Republiki Armenii (głównie do Erywanii), gdzie szczęśliwie znaleźli tymczasowy azyl. Choć 10 listopada weszło w życie porozumienie pokojowe kończące działania zbrojne, to dla rządu w Erywanii sama wojna jak i rozejm okazały się bardzo gorzką pigułką do przełknięcia. Armenia i Arcach w zasadzie nie uzyskały poparcia żadnego z państw na świecie. Żaden rząd europejski, żaden z liderów politycznych nie poparł Ormian. Ponadto, w rezultacie porozumienia pokojowego Górski Karabach zachował zaledwie 1/3 swojego dawnego terytorium, a dodatkowo wprowadzono na terytorium Republiki obce wojska rozejmowe (rosyjskie), których zadaniem przez najbliższe 5 lat będzie bronić obie strony przed ewentualnymi aktami agresji. O konflikcie karabaskim pisze w tym numerze Biuletynu Witold Repetowicz, który niemal od pierwszego dnia wojny relacjonował jej przebieg. W Biuletynie publikujemy jego artykuł, który ukazał się na łamach tygodnika „Do Rzeczy”.

W numerze znajdują Państwo kilka interesujących tekstów prof. Andrzeja Pisowicza. Profesor przetłumaczył specjalnie dla naszych czytelników fragment książki abp. Grigora Cziftcziana „Podróżowanie po Ormiańskiej Diecezji Atropatenu. Śladami ormiańskich zabytków”. Ponadto Profesor rozpoczął spisywanie swoich wspomnień, które sukcesywnie będziemy publikować na łamach Biuletynu. W tym numerze część pierwsza reminiscencji naszego wybitnego polskiego armenisty.

Pandemia przyhamowała nieco rozwój OTK. Niemal wszystkie wydarzenia kulturalne, tradycyjnie organizowane przez Towarzystwo, ze względów bezpieczeństwa zostały odwołane. Wartawar, rocznica

Ludobójstwa Ormian czy koncerty promujące kulturę ormiańską – zostały wykreślone z naszego kalendarza. Jedynie lekcje języka ormiańskiego prowadzone przez Profesora Pisowicza udało się kontynuować w trybie on-line. Miejmy nadzieję, że już wkrótce uda nam się spotkać realnie, a nie za pośrednictwem ekranu komputera. A tymczasem życzymy udanej lektury!

Wojna o Arcach

Arcach, znany bardziej jako Górski Karabach, to armeńskie terytorium, które teoretycznie wciąż jest uznawane przez społeczność międzynarodową za część Azerbejdżanu, ale faktycznie należy do Armenii. Erywań jednak go nie anektował, więc formalnie funkcjonuje jako odrębne państwo

Witold Repetowicz

„Wojna o Arcach” pierwotnie ukazał się w tygodniku „Do Rzeczy” nr 41/2020

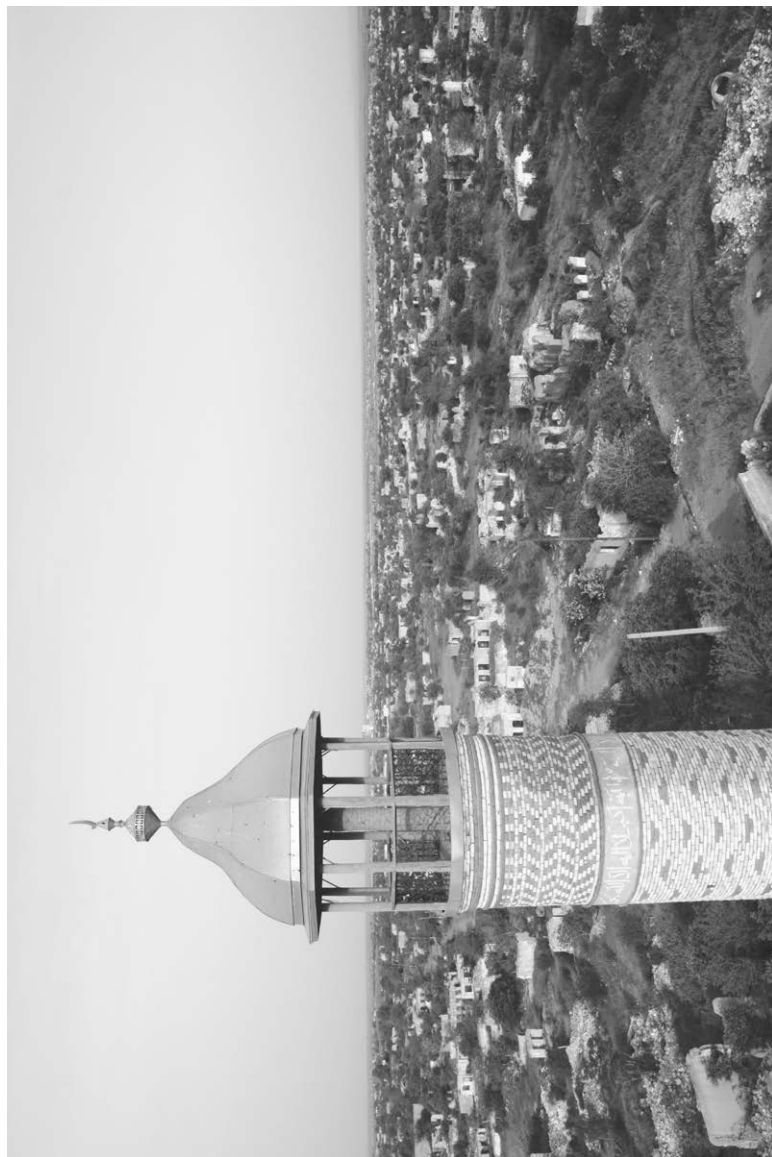
Stepanakert, stolica nieuznawanej Republiki Arcachu może zadziwić przyjeżdżającego. Zamiast siermiężnego krajobrazu i skansenu komunistycznej symboliki widać tu szybko rozwijające się, czyste i ładne miasto. Trochę w tym „zasługi” Azerów, którzy w latach 1991–1993 ostrzeliwali je z górującej nad Stepanakertem Szuszy, niszcząc w ten sposób poprzednią zabudowę. Sama Szusza, stara stolica tego armeńskiego regionu, w 1920 r. była świadkiem jednej z największych masakr dokonanych przez Turków na Ormianach. W 1992 r. Ormianie ją odbili, ale 27 września 2020 r. na Stepanakert znów spadły azerskie pociski.

Gdy w sierpniu byłem w stolicy Arcachu, widok zrelaksowanych ludzi spacerujących po centralnym placu oraz bawiących się tam dzieci powodował, że trudno było odnieść wrażenie, iż to strefa wojny. – W takiej rzeczywistości żyjemy już ponad 25 lat, więc czego mamy się bać? – powiedział mi Arajik Harutiunian, prezydent tej 150-tysięcznej republiki. Ubrany w koszulkę polo spokojnie przechadzał się wśród swoich rodaków w towarzystwie raptem dwóch ochroniarzy.

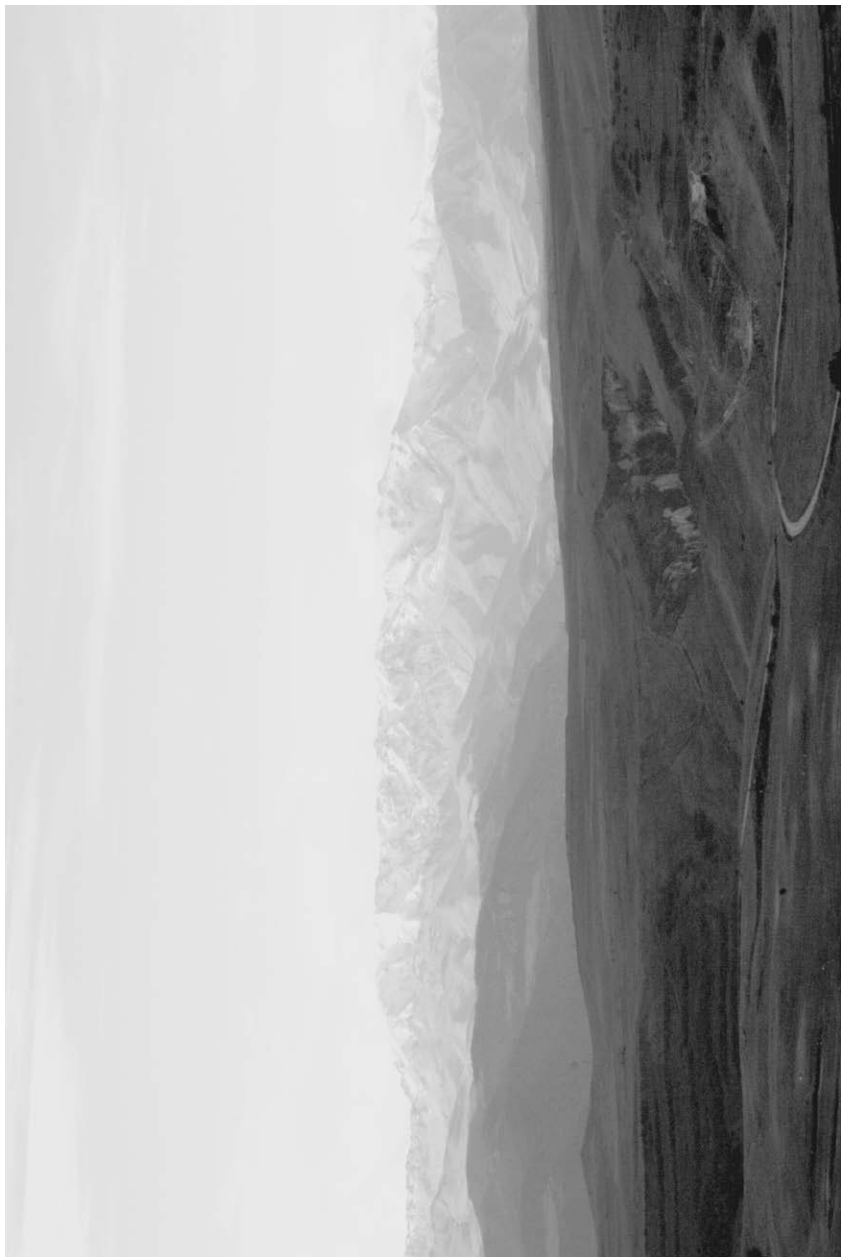
Arcach to armeńskie terytorium, które teoretycznie wciąż jest uznawane przez społeczność międzynarodową za część Azerbejdżanu, ale faktycznie od 1991 r. należy do Armenii. Erywań jednak nie anektował go, więc formalnie funkcjonuje jako odrębne państwo. Tamtejsi Ormianie swoje problemy zawdzięczają trzem osobom: Atatürkowi, Leninowi i Stalinowi.

GENERAŁ NYŹDEH

Po zakończeniu pierwszej wojny światowej w traktacie z Sèvres zawartym w 1920 r. z pokonanym imperium osmańskim ustalono, że powstanie niepodległa Armenia. Tak się jednak nie stało. Lenin i Stalin już w 1920 r. w Moskwie dogadali się w sprawie podziału Kaukazu z twórcą nowoczesnej Turcji Kemalem Atatürkiem, i to na zasadach wyjątkowo



Miasto Agdam – widok sprzed września 2020
(fot. Jakub Osiecki)



Krajobraz kaukaski (fot. Jakub Osiecki)

niekorzystnych dla Ormian. – Oddali Turcji nie tylko Armenię Zachodnią, lecz także znaczną część Armenii Wschodniej, czyli np. Kars. Nie zostawili nam nawet naszej dawnej stolicy Ani, choć dla Turków to tylko bezwartościowe ruiny – powiedział mi w Stepanakercie Karen, pasjonat historii swego kraju. – Co więcej, częścią układów z Turkami było też przekazanie sowieckiemu Azerbejdżanowi Nachiczewania i Górskiego Karabachu, a w zamian Turcy zgodzili się na przyłączenie do Gruzji Adżarii z portem w Batumi – dodał. Nachiczewan, azerska eksklawa, posiadająca małe, ale strategicznie istotne połączenie z Turcją, przez Ormian uznawana jest również za historyczną część ich kraju, a na początku XX w. Ormianie stanowili tam większość mieszkańców (dziś nie ma ich tam wcale).

Sowieci gotowi byli oddać Turkom jeszcze jedną armeńską prowincję, tj. Zangezur, oddzielającą Karabach od Nachiczewania i łączącą Armenię z Iranem. Nie doszło do tego dzięki gen. Gareginowi Nyżdehowi, którego pomnik stanął kilka lat temu w Erywanii ku wściekłości Rosji. Nyżdeh proklamował tam Republikę Górskiej Armenii. – Dysponował raptem 500 ochotnikami, którzy skutecznie stawiali opór 15-tysięcznym siłom bolszewików. Sowieci stracili dwie trzecie swojego wojska, a Nyżdeh skapitulował dopiero, gdy zagwarantowali mu na piśmie, że Zangezur nie zostanie przyłączony do Azerbejdżanu – wyjaśnił Karen, dodając, że gdyby nie to, teraz Turcja mogłaby anektować i Nachiczewan, i Karabach, i Azerbejdżan, dochodząc do Morza Kaspijskiego.

Nyżdeh udał się następnie na emigrację, a w czasie drugiej wojny światowej organizował Legion Armeński po stronie Niemiec (niewiele z tego zresztą wyszło, bo Hitler Ormianom nie ufał). – Nyżdeh obawiał się, że jeśli Niemcy zajmą Stalingrad, to Turcja uzna, iż ZSRS padło i wkroczy na Kaukaz. A to oznaczałoby nowe ludobójstwo Ormian, więc Legion Armeński miał do tego nie dopuścić – wyjaśnił Armen, emerytowany pułkownik pochodzący z Karabachu. Po wojnie Nyżdeh zwrócił się z propozycją współpracy do Stalina, gdyż ZSRS rozważał wojnę z Turcją i anektowanie terenów oddanych Turcji w 1920 r., czyli m.in. Karsu. Sowieci uwięzili go jednak i w końcu zamordowali, bo wojny z Turcją ostatecznie nie było.

TRAGEDIA ORMIAN

Woltom Nyżdeha trudno się dziwić, jeśli się weźmie pod uwagę tragiczną historię armeńskiego narodu. W rezultacie prześladowań, mordów i przesiedleń, a w końcu ludobójstwa dokonanego na nich przez Turków w 1915 r., w granicach dzisiejszej Armenii (obejmującej mniej

niż 20 proc. terytorium przyznanego według traktatu z Sèvres) pozostało tylko niespełna 3 mln mieszkańców, podczas gdy diaspora ormiańska liczy ok. 12 mln.

Od XVII w., gdy zlikwidowane zostały wasalne wobec Persji armeńskie księstwa na Kaukazie, takie jak obejmujące teren dzisiejszego Arcachu księstwo Chaczen, nowi islamscy władcy zaczęli wysiedlać Ormian i sprowadzać ludność muzułmańską. Efektem tych zmian demograficznych było to, że na początku XIX w., w przededniu przejęcia kontroli nad Armenią Wschodnią przez Rosję, w wyniku jej wojen z Persami i Osmanami w wielu częściach Armenii, w tym w samym Erywanu, większość stanowili muzułmanie. Sto lat później sytuacja uległa już jednak radykalnej zmianie na korzyść Ormian, którzy powrócili na swoje ziemie.

– Azerowie twierdzą, że nie tylko Górski Karabach, lecz także nawet Erywań jest ich miastem i go nam odbiorą, bo rzekomo Rosjanie sprowadzili tu Ormian z Syrii w XIX w. Jednak to, do kogo te ziemie zawsze należały, pokazują historyczne budowle, czyli nasze monastypy i chaczary. A w XIX w. nie było jeszcze żadnych Azerów, tylko Tatarzy kaukasy. Nazwa „Azerbejdżan” powstała dopiero w XX w. – podkreślił Armen. Chaczary to kamienne płyty z wykutymi na nich krzyżami i pamiątkowymi napisami.

Pierwsze ormiańskie protesty zaczęły się w Górskim Karabachu w 1988 r., co szybko doprowadziło do walk. Eskalacja i w rezultacie regularna wojna zaczęły się w 1991 r., gdy w odpowiedzi na deklarację niepodległości Azerbejdżanu i ogłoszenia przez to nowe państwo likwidacji autonomii obwodu Górskiego Karabachu ten również ogłosił niepodległość.

– Azerbejdżan nie może powoływać się na prawo do integralności terytorialnej, bo Górski Karabach nigdy nie był częścią niepodległego Azerbejdżanu. Ani przed powstaniem ZSRS, ani po jego rozpadzie – podkreślił Karen, gdy wjechaliśmy do Arcachu nową drogą prowadzącą z jeziora Sewan do Stepanakertu. W czasach przynależności Karabachu do Azerbejdżanu władze tej sowieckiej republiki celowo zaniedbywały infrastrukturalnie te tereny, by skłonić Ormian do ich opuszczenia. Jednak gdy wybuchła wojna, ponad 70 proc. mieszkańców wciąż stanowili Ormianie. Sowiecki Azerbejdżan szczególnie dbał o to, żeby nie było żadnych połączeń między sowiecką Armenią a Górskim Karabachem. – Z Erywanu do Stepanakertu trzeba było jechać okrężną drogą, wjeżdżając do niego od strony wschodniej z Azerbejdżanu. A teraz mamy dwie nowe drogi, wszyscy Ormianie się na nie składali, a już budujemy trzecią – dodał Karen.

Drogi te wiją się serpentynami, ciągnąc się przez malownicze góry. Tuż za oficjalną granicą Armenii pojawia się bajeczny krajobraz potężnych skał otaczających małe wioseczki. Nazwa każdej z nich zaczyna się od słowa „nor”, czyli po armeńsku „nowy”. Ten region to Kelbadżar–Laczin i przed 1991 r. nie był on częścią autonomicznego obwodu Górskiego Karabachu, choć historycznie był częścią armeńskiego księstwa Chaczen. – Gdyby Nyżdeh nie doprowadził do utrzymania Zangezuru w granicach sowieckiej Armenii, to powstanie w Karabachu zakończyłoby się klęską – podkreślił Karen, pokazując mi mapę. Region Kelbadżar–Laczin wciśka się między Armenię oraz Arcach i tylko na południu zwięża się do zaledwie kilkukilometrowego pasa dzielącego Arcach i Zangezur. W latach 20., by jeszcze bardziej skomplikować relacje etniczne, Stalin postanowił stworzyć Czerwony Kurdystan, tj. autonomiczny okręg kurdyjski z siedzibą w Laczin. Twór ten był jednak taką efemerydą, że pomysł został zarzucony. To właśnie przez Zangezur i „drogę życia” przechodzącą przez Laczin trafiło wsparcie z Armenii do Górskiego Karabachu. Ponadto przebiegająca tędy granica z Iranem była przez jakiś czas dla Ormian jedynym oknem na świat, bo pogranicze gruzińsko-armeńskie było zamieszkane przez Azerów. A poza tym Armenia graniczy już tylko z Turcją i Azerbejdżanem.

POWTÓRKA Z 1920 r.?

Ormianie wojnę wygrali, wypierając Azerów nie tylko z Karabachu, lecz także Kelbadżar–Laczin oraz kilku innych azerskich dystryktów istotnych z punktu widzenia strategicznego. W 1994 r. zawarto rozejm, ale konflikt się nie skończył. Zaczęły się ciągnące się w nieskończoność negocjacje pod auspicjami Grupy Mińskiej OBWE. Problem w tym, że Azerbejdżan nie zgadza się na uznanie odłączenia się Górskiego Karabachu, prawa tamtejszej ludności do samostanowienia, w zamian za zwrot pozostałych terenów z wyjątkiem Kelbadżar–Laczin. – Arcach musi mieć połączenie z Armenią, a poza tym tam teraz mieszkają Ormianie, którzy po wybuchu wojny z Azerbejdżanem musieli z niego uciekać przed nowymi pogromami – stwierdził Armen. Władze Arcachu nie zasiedlają natomiast terenów zajętych przez Ormian na wschód od Górskiego Karabachu, co świadczy o gotowości Ormian do ich zwrócenia, jeśli Azerbejdżan pogodzi się ze stratą Karabachu.

Tyle że jest to teraz mało prawdopodobne, zwłaszcza po tym, jak 27 września Azerbejdżan znów zaatakował Górski Karabach. Sytuację komplikuje też bezpośrednie zaangażowanie się Turcji po stronie

Azerbejdżanu oraz zbliżenie między Ankarą a Moskwą, która teoretycznie zobowiązana jest do udzielenia pomocy Armenii. Ormianom grozi to powtórką z 1920 r. – Rosja to prostytutka, już w 2016 r. chciała nas sprzedać, dając Azerbejdżanowi zielone światło na atak na nas – powiedział mi jeden z weteranów wojny karabaskiej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Ś.P. Andrzej Krzeczunowicz 1930-2020 – Wspomnienie

Maciej Koszutski

17 listopada 2020 roku dowiedzieliśmy się o zgonie Andrzeja Krzeczunowicza. Tę smutną wiadomość przyjęliśmy z żalem i zaskoczeniem, ponieważ Zmarły do ostatnich swoich chwil, mimo podeszłego wieku, imponował żywotnością oraz jasnym i rzutkim umysłem.

Andrzej Krzeczunowicz wywodził się z zasłużonej dla naszej Ojczyzny rodziny pochodzenia ormiańskiego. Wzmianka zamieszczona w pozycjach „Herbarz Polski” Adama Bonieckiego i „Ormiańskie rody szlacheckie” Ludwika Korwina wspomina, że „W r. 1659 oddał król (Jan II Kazimierz Waza) Andrzejowi Krzeczunowiczowi pocztę królewską i prywatną”. Jego potomek Grzegorz po uzyskaniu nobilitacji austriackiej w 1785 roku, zakupił majątki Olejowo i Karolówkę w cyrkule kołomyjskim i odtąd jego potomkowie pisali się „z Olejowa”. Ludwik Korwin tak opisuje pozyskany przez Krzeczunowiczów herb szlachecki – „Na tarczy ściętej, w polu górnem, srebrnem, na zielonej murawie baran czarny w prawo, w dolnem – czerwonym, na zielonej murawie rumak biały, biegnący w prawo. Nad hełmem w koronie pół rumaka białego, wspiętego w prawo, między dwoma orlema skrzydłami, z których prawe w górnej połowie srebrne, w dolnej czerwone, lewe zaś w górnej czarne, w dolnej połowie srebrne. „Wnuk Grzegorza – Walerian (1790–1866), członek stanów galicyjskich, dziedzic dóbr Jaryczewo, otrzymał indygenat galicyjski w 1843 roku i został protoplastą linii brzeżańsko-lwowskiej rodu. Jego synami byli Ignacy, członek stanów galicyjskich i Kornel, pradziad Andrzeja Krzeczunowicza (1815–1881) – i tu znów odwołam się do Ludwika Korwina – „dziedzic dóbr Bonszowa w cyrkule stanisławowskim, poseł na sejmy lwowskie, zdolny i wymowny patrijota”. Był on posełem na Sejm Galicyjski i do Rady Państwa we Wiedniu, reprezentował poglądy konserwatywne, należąc do t.zw. Podolaków. Dziad Andrzeja Krzeczunowicza Aleksander (1863–1922), właściciel kilku majątków ziemskich w Galicji Wschodniej, poseł na Sejm Galicyjski, tak jak ojciec związany

z konserwatywnym stronnictwem Podolaków, członek Galicyjskiego Towarzystwa Gospodarczego i Galicyjskiego Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, marszałek powiatu rohatyńskiego, publicysta polityczny. Ojciec Kornel Krzeczunowicz (1894–1988) weteran I Wojny Światowej w Armii Austro-Węgierskiej, po odzyskaniu przez Polskę niepodległości wstąpił do 8 Pułku Ułanów Księcia Józefa Poniatowskiego, w którym objął dowództwo IV szwadronu. Rotmistrz Krzeczunowicz zasłynął w ostatniej wielkiej bitwie kawaleryjskiej w historii, pod Komarowem, gdzie pełniąc obowiązki dowódcy 8 Pułku Ułanów, poprowadził zwycięską szarżę 31 sierpnia 1920 roku, która doprowadziła do klęski Konarmii Siemiona Budionnego, idącej na pomoc wycofującym się siłom Michaiła Tuchaczewskiego. Po wojnie 1920 roku wystąpił z wojska, dziedzicząc majątek Bołszowce, angażując się w życie polityczne i gospodarcze. W latach 1935–1938 roku był posłem na Sejm IV kadencji. Po wybuchu II Wojny Światowej przedostał się do Francji, gdzie włączył się w organizację Wojska Polskiego, a po upadku Francji ewakuował się do Anglii. Po zakończeniu II Wojny Światowej pozostał na emigracji, przechodząc w stan spoczynku w stopniu pułkownika WP, angażując się w życie polityczne londyńskiej Polonii – w 1954 roku wchodząc do Tymczasowej Rady Jedności Narodowej. Kornel Krzeczunowicz był płodnym publicystą, piszącym na tematy dotyczące historii oraz wojskowości. Opisał również dzieje własnej rodziny w książce „Historia jednego rodu”. Zmarł w Londynie 3 grudnia 1988 roku, a więc na pół roku przed wielkimi przemianami, które zaszły w naszej Ojczyźnie.

Po tym wstępie opisującym dzieje i chlubne tradycje rodziny Krzeczunowiczów przechodzę do zaprezentowania sylwetki zmarłego Andrzeja Krzeczunowicza, który urodził się 20 listopada 1930 roku we Lwowie. Był synem Kornela Krzeczunowicza herbu własnego i Heleny z hr. Lubienieckich herbu Rola. Pierwsze siedem szczęśliwych lat życia spędził w rodzinnym majątku w Bołszowcach, opisując je w książce „Bołszowce. Wspomnienie z dzieciństwa na Kresach”. Tę kresową idyllę przewałał wybuch II Wojny Światowej. Bołszowce znalazły się w obszarze okupacji sowieckiej. Zagrożony aresztowanie przez NKWD ojciec Kornel Krzeczunowicz, przez Węgry udał się do Francji. Andrzej Krzeczunowicz z matką i dwoma starszymi braćmi, przekroczył granicę okupacji sowieckiej i niemieckiej. Na krótko osiedli u rodziny w Krakowie, a następnie przez Wiedeń i Włochy dotarli do Francji, osiadając początkowo w Arcachon, gdzie Andrzej Krzeczunowicz rozpoczął edukację szkolną. W 1940 roku rodzina przeniosła się do Marsylii, potem do Hyères,

w którym Andrzej Krzczunowicz z braćmi chodził do szkoły do 1942 roku. Po krótkim pobycie w Hiszpanii i Portugalii rodzina Krzczunowiczów przedostała się do Szkocji, a następnie do Anglii. Andrzej Krzczunowicz ukończył studia historyczne na Uniwersytecie St Andrews w Szkocji. W 1952 roku po otrzymaniu stypendium w Institut des Hautes Etudes Européennes w Strasburgu kontynuował edukację na kierunku studiów europejskich. W 1954 roku rozpoczął pracę w Radiu Wolna Europa, co okazało się największą przygodą Jego życia. Przeszedł wszystkie stopnie kariery dziennikarza radiowego, najpierw pracując jako tłumacz, potem od 1956 roku w redakcji dziennika radiowego, po 10 latach zostając kierownikiem dziennika. Od 1983 roku do przejścia na emeryturę w 1988 roku był zastępcą dyrektora Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. W okresie 1989–1997 był dyrektorem Biblioteki Polskiej i Muzeum Adama Mickiewicza w Paryżu. Jego mieszkanie było azylem dla wielu polskich opozycjonistów przebywających na zachodzie.

Po odzyskaniu przez Polskę pełnej niezawisłości w latach 1992–1997 był ambasadorem Rzeczypospolitej Polskiej w Belgii i Luksemburgu oraz Stałym Przedstawicielem RP przy NATO i Unii Zachodnioeuropejskiej w randze ambasadora, biorąc czynny udział w zakończonych sukcesem negocjacjach dotyczących wejścia Polski do Sojuszu Północnoatlantyckiego. Działania te opisał w książce „Krok po kroku – polska droga do NATO”. Od 2010 roku kierował Związkiem Pisarzy Polskich na Obczyźnie, w którym czynny był również Jego ojciec Kornel. Był korespondentem tygodnika „Time” oraz polskich periodyków „Dziennika Polskiego” w Londynie, „Kultury” w Paryżu i „Nowego Dziennika” w Nowym Jorku. Działał także jako Senior Associate Member St Antony College w Oxfordzie. Wykładał w Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie w Londynie, w Europejskiej Akademii Dyplomacji na Uniwersytecie Opolskim oraz w Akademii Polonijnej w Częstochowie. Oprócz wymienionych już pozycji książkowych wydał – „Wprowadzenie do praktyki dyplomatycznej”, „Globalizacja – geneza, zasięg, konsekwencje”, „Zapobieganie kryzysom i rozwiązywanie konfliktów”, „Geopolityka i geostrategia”. Pracował nad kolejną książką „Political ideas in Renaissance Poland – an introduction”.

14 października 1992 roku został przyjęty do Suwerennego Rycerskiego Zakonu Szpitalników Św. Jana Jerozolimskiego zwane-go Rodyjskim i Maltańskim jako Kawaler Honoru i Dewocji w strukturach Związku Polskich Kawalerów Maltańskich. W latach 1997–2002 był II wiceprezydentem Związku Polskich Kawalerów Maltańskich.



Należałoby przypomnieć, że Andrzej Krzeczunowicz został uroczyście przyjęty do Zakonu Maltańskiego właśnie 14 października 1992 roku podczas Mszy Św. w Archikatedrze Św. Jana Chrzciciela w Warszawie, w czasie pierwszego Konwentu ZPKM w Ojczyźnie, po wznowieniu działalności charytatywnej Związku Polskich Kawalerów Maltańskich w Kraju, po okresie absencji, spowodowanej przez czas reżimu komunistycznego. Czynnie uczestniczył w pracach Związku, aktywnie uczestnicząc w corocznych konwentach.

W 1997 roku Andrzej Krzeczunowicz został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Został odznaczony także Wielkim Krzyżem Zasługi Luksemburga z Gwiazdą i belgijskim Orderem Leopolda.

30 marca 1959 roku zawarł w Paryżu związek małżeński z Weroniką Wieleżyńską. Owocem ich związku jest syn Paweł oraz w kolejnym pokoleniu troje wnucząt. W 2017 roku wrócił wraz z żoną do Kraju aby zamieszkać w pobliżu syna i jego rodziny.

Ś.p. Andrzej Krzeczunowicz został pochowany na cmentarzu w Skolimowie w gminie Konstancin Jeziorna, z uwagi na reżim sanitarny w obecności ścisłego grona bliskich, po Mszy Św. pogrzebowej w miejscowym kościele pod wezw. Matki Boskiej Anielskiej.

Wspomnienie o Ś. P. Andrzeju Krzeczunowiczu

Andrzej Pisowicz

Nie pamiętam, w którym to było roku, ale zapewne jeszcze pod koniec wieku XX, kiedy pan Andrzej Krzeczunowicz, wówczas Ambasador RP przy NATO, prowadzący Polskę do członkostwa w tej organizacji (gwarantującej nam bezpieczeństwo), zwrócił się do mnie listownie z prośbą o objaśnienie etymologii Jego nazwiska. Bardzo mnie to ucieszyło. I to z różnych powodów. Po pierwsze, jako filolog lubię sytuacje, w których ludzie zadają pytania typu: „a czy to coś znaczy?” Po drugie, jako językoznawca-armenista z radością znalazłem głębsze uzasadnienie dla szperania po słownikach.

No i zacząłem szperać. Znalazłem rumuński wyraz *Crăciun*, wymawiany, w przybliżeniu, *Kryczjun*, z akcentem na ostatniej sylabie. Wyraz ten jest nazwą święta Bożego Narodzenia. To by pasowało. Ormianie mają imiona (a także pochodzące od nich nazwiska) związane z nazwami święt kościelnych, np. *Harutiun* to „Zmartwychwstanie”, a *Hambarcum* – „Wniebowstąpienie” (por. nazwiska: *Harutiunian*, *Hambarcumian*).

Polscy Ormianie często pochodzili z terenów Rumunii i mają nazwiska o rumuńskiej etymologii, np. Roszka (w XVIII wieku żył słynny uczony leksykograf Stefan Roszka). Nazwisko to pochodzi zapewne od rumuńskiego przymiotnika *roșcat* „rudy, ryży”. Późniejsza forma Roszko powstała wtórnie pod wpływem skojarzenia z imieniem Roch, na podobieństwo ruskich nazwisk typu *Iwaszko* (skąd: *Iwaszkiewicz*).

A więc nazwisko *Krzeczunowicz* powstało od męskiego imienia **Krzeczun*, pochodzącego od rumuńskiej nazwy Bożego Narodzenia. Ale pozostaje sprawa etymologii tego rumuńskiego wyrazu. Jeden z rumuńskich słowników etymologicznych wyprowadzał go od jakiegoś łacińskiego wyrazu, bo – jak wiadomo – język rumuński wywodzi się z łaciny, podobnie jak inne języki romańskie. Jednakże znaczenie rzekomego łacińskiego źródła nie pasowało do rumuńskiego znaczenia.

Więc grzebałem dalej w słownikach i opracowaniach, aż znalazłem źródło owej rumuńskiej nazwy. Było nim słowiańskie (!) słowo, które w literackich językach słowiańskich zanikło, a brzmiało tak, że w języku

polskim powstałby z niego **kroczun*, wyraz nieistniejący, związany z czasownikiem *kroczyć*, analogiczny do istniejącego *bieguna*, utworzonego od czasownika *biegać*.

Okazało się, że ów stary słowiański wyraz (nie poświadczony, powtarzam, w literackich językach słowiańskich) oznaczał pogańskie święto pierwszego dnia zimy, w którym „dzień” stawia pierwszy *krok* w stronę wiosny, bo jest trochę dłuższy od poprzedniego. Chodzi o tzw. „przesilenie zimowe” przypadające w sąsiedztwie dnia 22 grudnia. Wtedy właśnie, mnie więcej, przypada... Boże Narodzenie. I sytuacja się wyjaśnia. Nazwisko *Krzeczunowicz* pochodzi od rumuńskiej nazwy ważnego święta chrześcijańskiego obchodzonego na początku astronomicznej zimy.

Wspomnieniem tego krótkiego kontaktu z panem Andrzejem Krzeczunowiczem pragnę Mu oddać pośmiertny hołd. Był wspaniałym człowiekiem, który (jak mi kiedyś powiedział) „nigdy nie był w PRL-u”. Przyjechał do Polski dopiero po upadku „komuny”. Miał ogromne zasługi w zapewnieniu Polsce bezpieczeństwa. A był przy tym bardzo skromny. Pamiętam, jak bez cienia jakiegokolwiek dumy rodowej związanej ze swym szlachectwem opowiadał o tym, jak Jego odlegli przodkowie zarabiali pędząc stada wołów na sprzedaż do Budapesztu.

Pan Andrzej Krzeczunowicz pamiętał o innych. Wygłosił sprzed ołtarza piękne przemówienie we Wrocławiu podczas pogrzebu orientalisty-iranisty (mojego mistrza) profesora Wojciecha Skalmowskiego w roku 2008. Czulo się prawdziwe ciepło, z jakim zmarłego wspominał przemawiający. A teraz Jego samego nam przychodzi żegnać. Requiescat in pace!

Varia ormiańskie

Andrzej Gliński

W numerze „Uważam Rze. Historia” opublikowanym 31 marca 2020 r. miała miejsce potężna manipulacja oraz nieprawdziwe przedstawienie faktów historycznych. Szczególnie mam na myśli artykuł: „Polityka migracyjna Imperium Rosyjskiego” oraz dodatek specjalny „Azerbejdżan”. Pewną konsternację wywołuje fakt, że numer ten poprzedził azerską zbrojną interwencję w Arcachu. Czyżby była to płatna medialna kampania poprzedzająca wojnę?

Teksty w numerze ukazują nam oficjalne ahistoryczne stanowisko Turcji i Azerbejdżanu, które uznaje sześćtyśiącletnią obecność Prototurków w Anatolii i na Kaukazie. Z artykułów w tym numerze możemy wywnioskować, że Ormianie pojawili się na tych terenach w XIX wieku w wyniku rosyjskiego spisku (sic!).

W 1930 roku turecki minister sprawiedliwości Mehmet Esat powiedział, że „To jest kraj Turków, a ci, którzy nie mają czystego tureckiego pochodzenia, mają tylko jedno prawo w tym kraju, prawo do bycia służącymi, prawo do bycia niewolnikami”. Fabrykowanie etnicznego pochodzenia i zwyczajne fałszowanie historii jest standardem uniwersyteckim w Turcji promowanym przez instytucje rządowe tego państwa. Można mówić nawet, że fałszowanie historii jest tam elementem konstytucyjnej ideologii stanu. Wszystkie etniczne grupy zamieszkujące niegdyś Anatolię, jak np. Hetyci, Awarowie, Sakowie, Scyci, Partowie etc., nazywa się prototureckimi lub turańskimi. Wiodącym turańskim ideologiem był Hasan Revit Tankut (1893–1980). Skonstruował on teorię, że turecki język był protoplastą wszystkich języków na świecie (sic!). Takie teorie były i w znacznym ciągu są dalej promowane przez państwo tureckie. Warto zauważyć, że spora część pseudohistoryków aktywnych w „turkizowaniu” mniejszości etnicznych to byli lub aktywni oficerowie armii tureckiej. Za oficjalne stanowisko uznaje się sześćtyśiącletnią obecność Prototurków w Anatolii. Współcześnie w Turcji mniejszości wyróżnia się według kryterium religijnego: jeśli jesteś muzułmaninem, to jesteś Turkiem. W ten sposób jedynymi oficjalnymi członkami mniejszości są chrześcijańscy Grecy, Ormianie oraz Żydzi.

Duchowym ojcem wszystkich tureckich reakcyjnych pseudohistoryków był profesor Mehmet Fahrettin Kirzioğlu. Standardową metodą badawczą tego „naukowca” było wyszukiwanie w nazwach historycznych, w dokumentach źródłowych etc. różnych fonetycznych zbieżności i podobieństw między zapisanymi tam słowami a na przykład nazwami starych tureckich plemion. Jak widzimy aktualnie wielu pseudonaukowców podąża wyznaczoną przez niego ścieżką, która jest wysoce opłacalna i systemowo dofinansowywana przez autorytarne rządy Turcji i Azerbejdżanu.

Współcześnie co najmniej siedem ormiańskich słów jest używanych w języku tureckim jako przekleństwa. Do dziś Ormianie są symbolem mniejszości, która stanowi konstytucyjne zagrożenie integralności państwa tureckiego. Można powiedzieć, że armenofobia w Turcji osiągnęła rozmiary psychozy. Politycy potrafią nawzajem udowadniać sobie ormiańskie pochodzenie, żeby zożydzić się w oczach społeczeństwa. Do dzisiaj likwiduje się wszelkie ślady ormiańskiej architektury w Anatolii lub określa się je jako „seldżuckie”.

Teksty w numerze Uważam Rze Historia, m.in. te dotyczące założenia Azerbejdżanu przez starożytnych Scytów, przypominają wydumane historie o „turbosłowianach”, wielkiej Lechii i Imperium Lechitów walczącym z wojskami Imperium Rzymskiego. Polecam czytanie tychże artykułów z założoną foliową czapeczką.

Materiały „Uważam Rze” trafiły do polskiego czytelnika na kilka tygodni przed sto piątą rocznicą ludobójstwa Ormian. Dzień 24 kwietnia to data symboliczna. Tego dnia obchodzimy rocznicę zorganizowanego przez Turcję w latach 1915–1917 ludobójstwa, w którym eksterminowano ok. 1,5 mln spośród 2,6 mln Ormian żyjących pod koniec XIX wieku w granicach Imperium Osmańskiego.

24 kwietnia 1915 roku w Konstantynopolu aresztowano ormiańską inteligencję i przywódców religijnych, którzy wkrótce zostali zamordowani. W następnych miesiącach na terytorium Anatolii wypędzano z domów tysiące ludzi, każąc im maszerować przez pustynię, gdzie umierali. Warto przypomnieć, że w Turcji wciąż trwa kampania zakłamywania prawdy o tych faktach. Wydarzenia te przedstawia się pełnym eufemizmów, zakłamanym językiem, rozmydlającym zbrodnię (ewakuacja, akcja specjalna etc.).

Do dzisiaj w stosunku do Ormian w Turcji panuje wrogość. Przeciwnikom politycznym wyszukuje się na przykład korzenie ormiańskie (sic!). Również obecnie panuje tam skrajnie nacjonalistyczna ideologia tzw. Idea Wielkiego Turanu, zakładająca objęcie władzy przez Turcję nad wszystkimi

ludami tureckimi oraz mongolskim żyjącymi na Zakaukaziu i w Azji Środkowej. Przed ponad 100 laty ideologia ta doprowadziła do likwidacji mniejszości w Anatolii. Rzeź dotknęła głównie Ormian oraz Greków, którzy byli niezdolni do asymilacji i akulturacji.

Ostatnio byliśmy świadkami mordów na Jazydach, Kurdach, Asyryjczykach etc. Dziś jesteśmy świadkami czystek etnicznych w Arcachu, zamieszkanym przez Ormian. Czy następne będą greckie wody terytorialne oraz może nawet wyspy?

Dążenie do radykalnego ujednoczenia narodu tureckiego stanowiło podłoże koncepcji ludobójstwa. Pewnym znakiem czasu, a może globalizacji, jest to, że skrajnie islamistyczne ruchy próbują dokonać obecnie takiego ujednoczenia swojej wiary, kultury, społeczeństwa etc., co kończy się wojnami i czystkami etnicznymi i religijnymi na Bliskim Wschodzie oraz Kaukazie na znaczną skalę. Dopóki Turcja nie uzna i nie pogodzi się wewnętrznie z Rzezią dokonaną przeszło 100 lat temu na narodzie ormiańskim, nie ma co liczyć na rozsądną politykę zagraniczną i wewnętrzną tego kraju.

Ostatnio więcej się mówi i pisze (także za granicą) o wybitnym polskim prawniku (pochodzenia żydowskiego) Rafale Lemkinie, twórcy pojęcia ludobójstwa. Na narodziny koncepcji Lemkina pierwszorzędne znaczenie miało zetknięcie się z prześladowanymi ormiańskimi uchodźcami z Turcji, którzy na przełomie XIX i XX wieku osiedlali się we Lwowie, gdzie Lemkin studiował. W 1921 roku we Lwowie powstało Towarzystwo Polsko-Ormiańskie, działające „w poczuciu potrzeby odnowienia i wzmożenia wzajemności dla zadań i interesów wspólnych obu narodów, polskiego i ormiańskiego, wobec Wschodu i Zachodu”. Znaleźli się w nim m.in. emigranci z Turcji i potomkowie starych rodów ormiańsko-polskich. W czasie kiedy Lemkin rozpoczął swoje studia we Lwowie, wciąż istniała w nim wielowiekowa, ale niezwykle żywotna i prężna społeczność ormiańska. Wśród Ormian lwowskich wiele się mówiło o masakrach w Turcji i ugruntowała się trwała świadomość cierpień zadanych ich narodowi. Wielu nauczycieli oraz kolegów Lemkina, studentów uniwersyteckich, było pochodzenia ormiańskiego. W 1921 roku w polskiej prasie głośno było o Soghomonie Tehlirianie, Ormianie, który zabił w Berlinie Mehmeda Talaata, byłego ministra spraw wewnętrznych Turcji, odpowiedzialnego za ludobójstwo Ormian, Greków oraz Asyryjczyków. Lemkin zapisał w swojej autobiografii, że proces wytoczony Tehlirianowi przed sądem niemieckim wywołał w nim pierwsze refleksje nad potrzebą sankcji karnych za zbrodnię popełnioną przez Turcję. Cała smutna prawda wygląda tak, że kiedy zaczął się Holocaust, myśl

Lemkina była już w znacznej mierze wykrystalizowana, na co tak wielki wpływ miało zetknięcie się Lemkina z ocalałymi Ormianami. W czasie wojny podczas Holocaustu zostali zamordowani prawie wszyscy członkowie rodziny Lemkina. 9 grudnia 1948 roku Narody Zjednoczone przyjęły projekt Konwencji w sprawie Zapobiegania i Karania Zbrodni Ludobójstwa autorstwa Lemkina.

DULCE ET DECORUM

W tym roku wypadła 400. rocznica śmierci hetmana Stanisława Żółkiewskiego w walkach z Turkami pod Cecorą. 12 września wypadła zaś 337 rocznica bitwy pod Wiedniem. Ormianie mieszkający na terytorium Rzeczypospolitej byli żywotnie zainteresowani powstrzymaniem ekspansji terytorialnej Turcji. W 1675 roku przekazali na potrzeby wojska polskiego sporą sumę 9000 złotych. Wielu Ormian było osobiście zaangażowanych w walkę po polskiej stronie. Takim idealnym przykładem jest Zachariasz Piotrowicz, który stał się pierwowzorem Ormianina z Pana Wołodyjowskiego, gdzie występuje jako zaufany człowiek Jana Sobieskiego.

Warto przypomnieć, że w 1696 roku Król Jan III Sobieski zaproponował patriarsze eczmiaadzyńskiemu, w zamian za przyjęcie unii z Rzymem, pomoc przy odbudowie królestwa ormiańskiego. Śmierć króla zniweczyła ten projekt.



Axentowicz. Teodor Axentowicz¹

Michał Pilikowski

Był jednym z najwybitniejszych artystów epoki Młodej Polski i pierwszym rektorem Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, który został wybrany przez grono profesorów. Jego droga na plac Matejki była długa i kręta.

Teodor Axentowicz urodził się 13 maja 1859 roku w Brasso, w leżącym w granicach monarchii habsburskiej Siedmiogrodzie. Ojcem Teodora był polski Ormianin, Deodat Axentowicz, a matką Węgierka Agnieszka z Plutarchów. Rodzina Axentowiczów mogła wykazać się bardzo starym rodowodem. Za protoplastę rodu uchodzi Piotr Axenty-Axentowicz, który w 1688 roku otrzymał herb Gryf i przeszedł do stanu szlacheckiego. Teodor skłonny był jednak doszukiwać się początków swej familii w bardziej odległej przeszłości. „Raz słysząc, że ktoś wywodzi pochodzenie swego rodu od biblijnego proroka Eljasza – uśmiechnął się nieznacznie – swoim zwyczajem i zauważył, jakby niechcący: »Tak – to prawda – niektóre rody są bardzo stare, u nas w rodzinie też utrzymuje się tradycja, że pochodzimy od jakiegoś króla armeńskiego, który żył w czasach Chrystusa. A nawet mówią, że podobno się obaj znali i ze sobą korespondowali”².

W 1862 roku rodzina Axentowiczów przeprowadziła się do Lwowa, gdzie Teodor uczęszczał do Szkoły Realnej. W 1878 roku podjął studia w Szkole Politechnicznej we Lwowie, ale po roku je porzucił. Od najmłodszych lat zdradzał uzdolnienia plastyczne. Mógł je rozwijać nie opuszczając Galicji w krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych, dla której wznoszono właśnie nowy gmach przy Rynku Kleparskim. Zdecydował się jednak na dłuższą podróż, której celem miała być Akademia Sztuk Pięknych w Monachium. „Gdy Axentowicz był młodzieńcem, największym jego marzeniem było udanie się na studia malarskie do Monachium, ówczesnej Mekki artystów. Był to wyjazd kosztowny, a ojciec Axentowicza, urzędnik sądowy w służbie austriackiej, nie posiadał na to funduszy. Młody Axentowicz postanowił wówczas zwrócić się do swojego bogatego krewnego. Przedstawił mu obszernie korzyści, które

1 Artykuł ukazał się w czasopiśmie „Wiadomości ASP” 42/2018.

2 F. Klein, Humory artystów, „Kuryer Literacko-Naukowy” 1939, nr 32, s. 11.

odniesie z pobytu w Monachium i, chcąc naprowadzić bogatego krewnego na myśl o udzieleniu mu pomocy finansowej, począł mu opowiadać, że pobyt na studiach malarskich w Monachium, mieście wielkim i sławnym, jest niestety bardzo kosztowny i niedostępny dla kieszeni Axentowicza. Biskup Isakowicz wysłuchał tego wszystkiego i wreszcie powiedział: »No, mój chłopcze, jeżeli pobyt w Monachium jest tak kosztowny, to nie jedź tam«³. Izaak Mikołaj Isakowicz, arcybiskup lwowski obrządku ormiańskiego, do historii przeszedł co prawda jako wielki społecznik i filantrop, na takie fanaberie, jak studia artystyczne, majątku tracić jednak nie zamierzał.

Teodor Axentowicz wyjechał do stolicy Bawarii i z początkiem roku akademickiego 1879/1880 rozpoczął studia w monachijskiej ASP. Przebywał w pracowniach Gabriela von Hackla, Sandora Wagnera i Gyuli Benczura. Axentowicz znalazł się w wielkim międzynarodowym środowisku artystycznym. Wspaniałe muzea i prężnie działające instytucje artystyczne musiały robić na nim wrażenie. Był to czas intensywnej pracy malarskiej Axentowicza, który nabierał coraz większej biegłości warsztatowej. Powstawały pierwsze obrazy, zyskujące coraz większe uznanie – także w Krakowie na wystawach Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. Sceny rodzajowe utopione w monachijskich sosach wydały się jednak w końcu Axentowiczowi nużące. W czerwcu 1882 roku zakończył studia, w czasie których uzbierał trzy srebrne medale. Nauk wyniesionych z monachijskiej Akademii nie zapomniał nigdy. „Axentowicz jako profesor domagał się od swoich uczniów doskonałego opanowania techniki malarskiej. Ustawicznie kładł im w uszy, że podczas swojego trzyletniego pobytu na studiach w Monachium malował tylko ręce. »Trzy lata uczyłem się malować ręce« – mawiał”⁴.

W grudniu 1882 roku, po kilkumiesięcznym pobycie u rodziców we Lwowie, Axentowicz wyjechał na dalsze studia artystyczne do Paryża. W stolicy Francji spędził trzynaście lat. Jego mistrzem, pod okiem którego doskonał swój talent, został Emil August Carolus Duran. W stolicy Francji zapoznał się ze zdobywcami impresjonizmu. Zwiedzał muzea. Był miłośnikiem teatru, opery i kabaretu. „To życie we wszystkich objawach, razem ze swemi podnietami i zabawami, zaciążyło na twórczości artysty, tembardziej, że Axentowicz nie był tylko jego obojętnym świadkiem, ale przeciwnie gorliwym uczestnikiem. A Paryż, który chętnie przyjmował wszystkich, szukających światła

3 S.B., Anegdota z życia Axentowicza, „Tęcza” 1938, nr 10, s. 77.

4 Tamże

metropolji, okazał się bardzo uprzejmym dla naszego rodaka⁵ – pisał Franciszek Klein.

W czasopiśmie zaczęły pojawiać się ilustracje Axentowicza. Bywając w redakcjach poznał wiele wpływowych osób, co ułatwiło mu wstęp na salony. Niebawem jego nazwisko w wyższych sferach stało się jeszcze bardziej znane. Portrety pędzla polskiego malarza cieszyły się coraz większym wzięciem. Zamówienia od pięknych dam popłynęły szerokim strumieniem. Brylując w towarzystwie zetknął się niemalże z całą elitą intelektualną i artystyczną Paryża. Stał się zamożnym człowiekiem, który otaczał się ludźmi wpływowymi i utytułowanymi. Poznał Sarę Bernhardt. W pałacu aktorki malował jej portret. Spotykał tam takich malarzy, jak Claude Monet czy John Singer Sargent. Bywał w domu wydawcy „Le Figaro” Henryka Fouquiera, którego córka Henrietta też mu pozowała. Jej portret ugruntował pozycję artysty. „Główka” Henrietty dała początek całej serii tego typu wizerunków, stanowiących znak rozpoznawczy Ormianina w Paryżu. „W okresie paryskim muzą Axentowicza była piękna i elegancka córka redaktora »Figara«, Henrietta Fouquier. Jeden z jej portretów ujrzał na wystawie w Wiedniu cesarz Franciszek Józef. Stał się zachwycony przed czarującą twarzyczką paryżanki i szepnął: »Ein Wunder« (cud). Portret Henrietty Fouquier nabyty został przez cesarza austriackiego dla muzeum w Wiedniu i w katalogu otrzymał nazwę »Das Wunder«⁶. Częste wizyty u Chełmońskich, Mickiewiczów i Godebskich dały Axentowiczowi możliwość do nawiązania kontaktów z wieloma mieszkającymi we Francji Polakami. Lista wybitnych postaci, z którymi rozmawiał na tych przyjęciach, jest długa. Jeśliby uszeregować ją alfabetycznie, na końcu byłby Emil Zola.

Jest taki film Woody Allena z 2011 roku zatytułowany *O północy w Paryżu*. Bohater filmu, turysta z XXI wieku, zafascynowany jest stolicą Francji. Zna jej historię i sztukę. Spacerując po paryskich zaułkach tęskni za epokami minionymi. Zdaje sobie sprawę, że to już nie jest to miasto, które jak magnes przyciągało bohemy artystyczną z całego świata. Stary automobil przewozi go do innej rzeczywistości. Wchodzi do lokalu, w którym już czekają na niego tacy artyści, jak Pablo Picasso, Salvador Dali, Luis Bunuel, Francis Scott Fitzgerald czy Ernest Hemingway. Potem z okresu międzywojennego cofa się w czasie jeszcze bardziej. Z powozu wysiada w końcu XIX wieku, w *belle époque*. W kawiarni spotyka Henri de Toulouse-Lautreca, Paula Gauguina i Edgara

5 F. Klein, Teodor Axentowicz, „Sztuki Piękne” 1926/27, nr 8, s. 288.

6 S.B., Anegdoty z życia Axentowicza, dz. cyt., s. 77.

Degasa. Gdyby nasz bohater posiedział przy stoliku nieco dłużej, być może doczekałby się na przyście Teodora Axentowicza.

Wojciech Kossak wspominał: „Axentowicz, którego gościem byłem dłuży czas w Paryżu na rue Pigalle, pozostawił mi najmiłsze z tych czasów wspomnienia. Piękny w swoim ormiańsko-asyryjskim typie, wytworny i dowcipny, był takim paryżaninem, jak jego sztuka była francuska”⁷. Czołowy batalista polski, zanim trafił do Paryża, studiował w latach 1871–1873 w krakowskiej Szkole Rysunku i Malarstwa pod kierunkiem Władysława Łuszczkiewicza i już więcej do ASP nie wrócił. Teodor Axentowicz nigdy nie studiował w najstarszej polskiej uczelni plastycznej, ale związał się z nią później pracą pedagogiczną. Obaj, Kossak i Axentowicz, zasłużyli na miano „ludzi Akademii”.

Wiosną 1889 roku Teodor Axentowicz przyjechał do Lwowa po to, by odwiedzić swych rodziców. Latem udał się do Zakopanego, gdzie poznał Iżę Giełgud, na co dzień mieszkającą w Londynie. Wakacje 1890 roku Axentowicz spędził już w stolicy Wielkiej Brytanii. Zamieszkał w domu państwa Giełgudów, gdzie bywało wielu przedstawicieli tamtejszej artystyczno-literackiej elity. Bogata burżuazja z City usłyszała o Axentowiczu i chętnie zamawiała u niego swe portrety.

Z rodziny Giełgudów pochodził wybitny aktor John Giełgud, który w 1979 roku zagrał główną rolę w filmie *Dyrygent* Andrzeja Wajdy. W 1934 roku Teodor Axentowicz został profesorem honorowym Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Sześćdziesiąt lat później, w 1994 roku, ten zaszczytny tytuł otrzymał Andrzej Wajda, niegdysiejszy student Akademii. Wszystko się tu krzyżuje i przenika...

Axentowicz był pod wielkim wrażeniem angielskiej sztuki. „Sztuką tą był preraphaelizm, a jego podstawą – poszukiwanie stylu i dekoracyjności. Dążność ta ku końcowi ubiegłego stulecia ogarnęła Europę, przybierając paradoksalne nieco formy w tak zwanym ruchu secesjonistycznym. Axentowicz poznał sztukę preraphaelitów u źródła, podczas kilkakrotnych swoich wycieczek do Anglii. Wywarła ona na jego twórczość wpływ bardzo wyraźny. Pod tym wpływem właśnie wytworzył się ów właściwy Axentowiczowi typ kobiety”⁸ – pisał Wacław Husarski. Axentowicz dużo czasu spędzał w londyńskich muzeach, gdzie doskonalił swe umiejętności warsztatowe kopiując dzieła takich starych mistrzów, jak Diego Velazquez, Antoon van Dyck, Joshua Reynolds czy Thomas

7 W. Kossak, *Wspomnienia*, Warszawa 1971, s. 364.

8 W. Husarski, Teodor Axentowicz na tle swojej epoki, „Tygodnik Ilustrowany” 1924, nr 51, s. 841

Gainsborough. 14 lutego 1893 roku w Londynie Teodor Axentowicz zawarł związek małżeński z Izą Giełgud. Podróż poślubną młoda para spędziła we Włoszech, na dłużej zatrzymując się we Florencji, Wenecji, Rzymie i Neapolu.

Wkrótce Teodor Axentowicz przyjechał z ziemi włoskiej do Polski i w październiku 1895 roku został profesorem malarstwa Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie. Ściągnięcie pod Wawel artysty, który zdobył uznanie na salonach Paryża i Londynu, było dużym sukcesem Juliana Fałata. Marian Trzebiński był świadkiem, jak to określał, „przeistoczenia się duszy artystycznej Krakowa”⁹. Wspominał: „Gdy zimą 1898 r. zapisałem się do krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych, szkoła pod nowym kierownictwem zaczynała nabierać barwy. Uczniów było dużo – z górą setka. Z nowych profesorów oprócz Axentowicza i Wyczółkowskiego przybył jeszcze Jacek Malczewski, którego opinia publiczna narzuciła szkole, taką bowiem świetną markę miał Malczewski w Krakowie. Przybył również Stanisławski, [...] którego udało się również uplasować jako profesora pejzażu. Szkoła została przerobiona, przebudowana, gipsy skasowane i wystawione na korytarzach, sala do wieczornych rysunków amfiteatralnie urządzona. [...] Dawne reminiscencje powstaniowe, dawny kult dla przeszłości Polski, tak głęboko przez Matejkę ukochany, zaczął zanikać. Nowa sztuka, nowe prądy zaczęły przenikać do Krakowa – nie tyle międzynarodowe, ile raczej z Wiednia idącej do nas secesji”¹⁰. Secesja nie była międzynarodowa, ponieważ do prowincji monarchii habsburskiej zwanej Galicją przysłała z miasta stołecznego...

Teodor Axentowicz był mistrzem portretu kobiecego. „Czar spojrzenia, powab uśmiechu, tęsknota młodej dziewczyny, naiwność podlotka, to znowu elegancja wykwintnej damy, lub poważna dystynkcja matrony – nie znalazły u nas malarza, któryby mógł stanąć obok Axentowicza”¹¹ – notował Franciszek Klein. Wielki świat, w którym obracał się Axentowicz, znalazł odbicie na jego płótnach. Jego obrazy były konsekwencją takiego trybu życia. Przez jego pracownię przewinęła się cała galeria czołowych przedstawicieli (głównie przedstawicielek) życia towarzyskiego. Jego sztuka była uosobieniem epoki, która przeminęła. Utrwalał wizerunki pięknych kobiet – z pięknej epoki. „Axentowicz miał nie tylko pewną rękę, ale i duży smak. Nie silił się zrobić duplikat oryginału z holbeinowską prawdą charakteru twarzy – ale umiał swoje piękne damy

9 M. Trzebiński, *Pamiętnik malarza*, Wrocław 1958, s. 141, 142.

10 Tamże

11 F. Klein, *Teodor Axentowicz i jego sztuka*, „Tygodnik Ilustrowany” 1924, nr 51, s. 845.

ubrać, uczesać, wydobyć z nich niezwykły wdzięk linji, zrobić je piękniejszymi i bardziej stylowymi¹² – zauważał Eligiusz Niewiadomski. W tym upiększaniu swoich modelek Axentowiczowi pomocna była secesyjna stylizacja i dekoracyjność. Do mistrzostwa opanował technikę pastelu, choć malował także olejno. „Istotnie niewielu malarzy potrafiło z takim taktem zatrzymać się na niebezpiecznej granicy, poza którą wdzięk przechodzi już w przesłodzenie, a elegancja – w salonowość¹³ – konstatował Wacław Husarski.

W Krakowie Teodor Axentowicz nie zmienił przyzwyczajeń. W dobie modernizmu potwierdzał, że nową sztukę można tworzyć wszędzie – nad Sekwaną, Tamizą i Wisłą. To dzięki takim artystom jak on twórczy ferment w podwawelskim grodzie przełomu XIX i XX wieku przyniósł tak wspaniałe efekty. Podobnie jak w stolicach europejskich, tak i w dawnej stolicy dawnej Polski życie towarzyskie koncentrowało się w salonach. Jeden z nich mieścił się w mieszkaniu państwa Jachimeckich przy ul. Grodzkiej 47. Zdzisław Jachimecki, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, był znawcą muzyki i kompozytorem. Zofia Jachimecka, jego żona, zajmowała się tłumaczeniem dzieł włoskiej literatury dramatycznej. Do historii przeszła jednak przede wszystkim jako muza krakowskich artystów. Portretowali ją najwięksi – na czele z Teodorem Axentowiczem. „O, Axentowi napozowałam się co niemiara. Zawsze prosił: »Może zechce mi pani pozować. Dobrze to sprzedam«. I sprzedawał. To był pełen dobroci i słodczy człowiek. Choć nie pozbawiony pewnej dozy złośliwości. Ale w jak delikatnym wydaniu. Wielokrotnie nalegałam, by namalował autoportret. Nie chciał. Mówił: »Tylko kobiety nadają się do malowania«¹⁴ – wspominała Zofia Jachimecka.

Malowanie pięknych kobiet przynosiło Axentowiczowi dużo satysfakcji. To był jego temat. Dzięki niemu zajął miejsce obok innych koryfeuszów modernizmu. Nie był to jednak jedyny nurt jego twórczości. „Rzecz ciekawa, iż tego malarza buduaru uderza i pociąga silnie motyw ludowy, który traktuje z prawdziwą miłością, a zwłaszcza motyw ruski, lśniący grą kolorów, które pod pędzlem Axentowicza łagodnieją, tracą jaskrawość i pstrokatość, a stają się pełną spokojnej harmonii barwnością. Indywidualność artysty właśnie tu wyraża się z całą dobitnością. Widzimy ją w *Święceniu wody*, w *Oberku*, w *Pogrzebie huculskim*. Z powagi scen tych bije pewna dostojność, nawet chłopki-rusinki zdają się mieć w sobie

12 E. Niewiadomski, *Malarstwo polskie XIX i XX wieku*, Warszawa 1926, s. 210.

13 W. Husarski, *Twórczość T. Axentowicza na tle jego epoki*, „Czas” 1938 (4 IX), nr 242, s. 8.

14 K. Zbijewska, *Z muzami pod rękę*, Kraków 1991, s. 126.

coś arystokratycznego, coś z dystynkcji dam światowych”¹⁵ – pisał Antoni Chołoniewski. Największe wrażenie spośród rodzajowych obrazów Axentowicza o tematyce huculskiej robi *Kołomyjka*, dawniej zwana *Oberkiem*. Nagle znajdujemy się w samym środku zawrotnego tańca. Wiejscy muzycy narzucają takie tempo, że trudno złapać oddech. Wszyscy pędzą, kręcą się i wirują. Oko widza nie odróżnia już sylwetek. Kontury się zacierają. Białe i czerwone stroje prawie się zlewają. Niewiele obrazów może równać się z *Kołomyjką* pod względem dynamiki kompozycji. To Teodor Axentowicz odkrył dla malarstwa polskiego Huculszczyznę. Torował drogę Władysławowi Jarockiemu, Fryderykowi Pautschowi i Kazimierzowi Sichulskiemu, swoim młodszym kolegom z Akademii, którzy ze skarbni cy huculskich motywów czerpali bez skrępowania.

Teodor Axentowicz obdarzony był wielkim poczuciem dekoracyjności. Jego malarstwo cieszyło oko. Tak jak przystało na przedstawiciela secesji uprawiał grafikę ilustracyjną i plakatową. Dla „Życia”, sztandarowego pisma Młodej Polski, projektował winiety, nagłówki i ozdobniki. Stworzył wiele plakatów wystaw Towarzystwa Artystów Polskich „Sztuka”. Te afisze należą do największych osiągnięć artysty. „Rafinowane w pomysłach, zharmonizowane w wykwintnych tonacjach, były nie tylko rewelacjami na gruncie naszym, ale należą do trwałych europejskich dzieł tego rodzaju sztuki”¹⁶ – stwierdzał Henryk Uziębło.

Projektowanie afiszy łączyło się z zaangażowaniem Axentowicza w sprawy związane z organizacją życia artystycznego. W 1897 roku był jednym z założycieli Towarzystwa Artystów Polskich „Sztuka”, ugrupowania zrzeszającego czołowych przedstawicieli modernizmu. W tym samym 1897 roku utworzył, działającą tylko kilkanaście miesięcy, Prywatną Szkołę Malarstwa i Rysunku dla Kobiet, w której nauczali tacy artyści, jak Leon Wyczółkowski i Jan Stanisławski. W 1910 roku dzięki jego staraniom polscy artyści po raz pierwszy uczestniczyli w Międzynarodowym Biennale Sztuki w Wenecji.

Przy wydarzeniach z roku 1910 zatrzymajmy się nieco dłużej. W październiku 1910 roku w życie wszedł nowy statut Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Zgodnie z nowymi przepisami rektor miał być wybierany przez grono profesorów na jeden rok akademicki; liczby kadencji nie ograniczono. Jako pierwszy z wyborczej próby zwycięsko wyszedł

15 A. Chołoniewski, W pracowni Axentowicza, „Świat” 1906, nr 12, [w:] W. Juszcak (red.), Teksty o malarzach. Antologia polskiej krytyki artystycznej 1890-1918, Wrocław 1976, s. 352.

16 H. Uziębło, Teodor Axentowicz, „Czas” 1938 (4 IX), nr 242, s. 8.

Teodor Axentowicz, który godność rektora najstarszej polskiej uczelni plastycznej piastował w roku akademickim 1910/1911. Axentowicz był zarówno trzecim, jak i pierwszym rektorem Akademii. Trzecim – ponieważ przed nim w fotelu rektora zasiadali już Julian Fałat i Leon Wyczółkowski. Pierwszym – ponieważ jako pierwszy został wyłoniony w drodze wyborów. Axentowicz wprowadził w mury Akademii, niedawno wstrząsanej potężnymi strajkami studenckimi, dużo spokoju. Jacek Malczewski, który w 1900 roku odszedł z ASP skłócony z Julianem Fałatem, w 1911 roku uległ perswazji twórcy *Kołomyjki* i powrócił na uczelnię. Axentowicz sprawował urząd rektora jeszcze raz: w roku akademickim 1927/1928. Niestety, ciężka choroba zmusiła go wówczas do zaprzestania na kilka miesięcy pracy w Akademii, a pod jego nieobecność uczelnią kierował prorektor Adolf Szyszko-Bohusz. Współpracownicy Teodora Axentowicza zachowali o nim jak najlepsze wspomnienia. Franciszek Klein, który w latach 1927–1939 prowadził w Akademii wykłady z historii sztuki, pisał: „Jako człowiek był on niezmiernie miłym towarzyszem wszelkich zebrań. Nadzwyczaj koleżeński, nigdy nie splamił się jadem zawiści czy zazdrości. Subtelny uśmiech, pełen ironicznej finezji, błąkał się na jego twarzy. Jego dowcip lekki i błyskotliwy wywoływał nie raz salwy śmiechu, mimo, że zawierał się często w dwóch lub w trzech słowach”¹⁷.

Teodor Axentowicz był związany pracą pedagogiczną z krakowską Akademią Sztuk Pięknych przez 39 lat – od 1895 do 1934 roku. Wykształcił kilka pokoleń malarzy w Polsce. Swoim studentom zaszczeptał nie tylko technikę malarską, ale i wysoką kulturę artystyczną. Przenieśmy się do jego pracowni. Niech nam o niej opowiedzą jego uczniowie. Henryk Uziembło wspominał: „Pozbawiony wszelkiej pozy, [Axentowicz] był przede wszystkim sobą. Uroczy światowiec, fizycznie porywająco kształtną, wysoką, szczupłą sylwetą, fascynował nas, młodych, aparycją i niezwykłą męską urodą, diabolicznego bruneta”¹⁸. „Teodor Axentowicz przychodził na korektę do pracowni raz w tygodniu, ale w dowolnie wybranym przez siebie dniu i godzinach. Rozmawiał z każdym studentem osobno, indywidualnie – czynił to po cichu, tak że nie było słycać tej rozmowy. Nigdy nie zwracał się do ogółu studentów. W swych uwagach co do warsztatu malarskiego, w trakcie kolejnych korekt, zwracał naszą uwagę na rozkład światła na powierzchni modelu. Zalecał wykorzystanie koloru płótna do wydobycia modelacji i światłocienia. Nie narzucał

17 F. Klein, Prof. Teodor Axentowicz (W dziesiątą rocznicę zgonu), „Dziennik Polski” 1948 (8 IX), nr 246, s. 6.

18 H. Uziembło, Teodor Axentowicz, dz. cyt., s. 7.

jakiegokolwiek manieri osobistej. Uczułał nas, adeptów malarstwa, na wyuczucie nastroju danej chwili. Zalecał stosowanie cienkiej materii malarzkiej, raczej lazerunkowej, bez nakładania grubych warstw farby olejnej, o której się żartobliwie wyrażał jak o trądzie. Ważnym podkreślenia, że profesor w pracowni nigdy nie uczył nikogo malowania pastelami, tylko farbami olejnymi. Zostawiał on dużą swobodę, nie było rygorów. [...] Mimo że między profesorem a studentami był bardzo duży, wyczuwalny dystans, to dla nas, studentów, był naszym mistrzem, życzliwym doradcą¹⁹ – pisał Eugeniusz Waniek.

Dwóm kolejnym studentom Axentowicz utkwiał w pamięci głównie dzięki swemu zamiłowaniu do zarabiania pieniędzy. „Axentowicz posiadał dar pedagogiczny, uczył dobrze, a tylko strasznie się śpieszył, tak że jego nauka miała mało powagi. Swą pracownię osobistą miał tuż obok klasy, ciągle mu się zdawało, że jakiś interesant dobija się do niej, wybiegał więc co chwila na korytarz. Można mu to wybaczyć, bo wówczas, choć nie był jeszcze stary, miał już z pół tuzina dzieci²⁰ – notował Marian Trzebiński. Zygmunt Kamiński rozwijał ten wątek: „Wśród uczniów Akademii kursowało trochę nieco złośliwych anegdot na temat komercyjności Axentowicza. Jedną z nich, zapewne o charakterze apokryficznym, zapamiętałem. Profesor otoczony uczniami powiada: »Zdajecie sobie zapewne sprawę, jak bardzo trudną rzeczą jest namalowanie dobrego obrazu. Wiedzcie więc, że daleko, wprost nieskończenie trudniej jest nawet najlepszy obraz – sprzedać. Ale – i tu profesor cofa się o dwa kroki wstecz i wznosi znacząco palec do góry – czy chcecie wiedzieć, co jest rzeczą najbezwzględniej najtrudniejszą?«. Na powszechnie oczywiście potakiwanie rozbawionych słuchaczy pada gromkie orzeczenie: »Najtrudniejszą na świecie sztuką – i zapamiętajcie to sobie dobrze – jest: za sprzedany obraz wydostać pieniądze!«²¹.

Axentowicz umiał liczyć pieniądze. Franciszek Klein ocalił od zapomnienia taką anegdotę: „Wielką atrakcją wiosennego sezonu Krakowa bywała wtedy, przed kilkudziesięciu laty, doroczna wspaniała wystawa Towarzystwa »Sztuka«. Jednego roku *clou* wystawy stanowił pastel Axentowicza – portret damy w czarnej sukni, siedzącej na zielonej, jedwabnej kanapce. Obraz ten zachwycał wszystkich subtelnym, nieuchwytnym wdziękiem kobiecym, w czym artysta był niedoścignionym mistrzem. Otóż na pastel ten trafił się kupiec i sekretarz Towarzystwa telefonował do artysty, zapytując o ostateczną cenę: »Ostatnia cena

19 T.Z. Bednarski, Krakowskim szlakiem Teodora Axentowicza, Kraków 2004, s. 66-67.

20 M. Trzebiński, Pamiętnik malarza, dz. cyt., s. 142.

21 Z. Kamiński, Dzieje życia w pogoni za sztuką, Warszawa 1975, s. 257.

1200 koron, cena nie za wysoka, obraz wcale niezły» – mówi Axentowicz. Wtem, kładąc już słuchawkę, jakby sobie coś przypomniał – woła: »Halo, halo, a kto chce kupić?«. »Hrabia Raczyński« – mówi sekretarz Bem. »Co, hrabia Raczyński? – to 2000 koron, artyści muszą z czegoś żyć«²². Edward Raczyński zabrał *Portret damy w czarnej sukni* do swego pałacu w Rogalinie. Axentowiczowi pozowała do niego żona Juliana Fałata, pochodząca z Włoch krakowska piękność.

Kupiecka przebiegłość artysty znana była powszechnie. Zakpić z niej postanowili sobie również artyści kabaretu Zielony Balonik. W 1905 roku w Jamie Michalika ze sceny padły słowa: „Przed papieżem Velazqueza/ zapytany Axent: Czyby/ wymalował tak papieża,/ rzekł: to zrobić można niby/ i zrobiłbym moi mili,/ byle dobrze zapłacili”²³.

Środki finansowe były Axentowiczowi bardzo potrzebne. Miał ośmioro dzieci: trzech synów i pięć córek. Swej licznej rodzinie zapewniał wysoki poziom życia. W Krakowie mieszkał kolejno pod czterema adresami: ul. Kurniki 3, ul. Warszawska 4, ul. Karmelicka 31 i ul. Kanonicha 16. Wszystkie jego mieszkania urządzone były bardzo luksusowo i elegancko. Zatrudniał służbę. W 1899 roku w Zakopanem zakupił willę z ogrodem. Na Kalatówkach odwiedzał swego przyjaciela, brata Alberta, którego działalność wspierał materialnie. W lipcu 1914 roku do zakopiańskiej willi Axentowiczów przyjechali w gościnę Joseph Conrad wraz z rodziną. Pisarz wyjechał ze stolicy Tatr już po wybuchu Wielkiej Wojny.

Odzyskanie przez Polskę niepodległości okupione było ogromną daniną krwi. Dwóch synów Teodora Axentowicza wstąpiło do Legionów Polskich. 24 sierpnia 1915 roku najstarszy syn artysty, Filip Tomasz, zginął w bitwie pod Łuckiem. Tragedia ta znalazła swój wyraz w twórczości artysty. Jeszcze w 1915 roku powstał obraz *Matka nad grobem syna*. W późniejszym okresie Axentowicz brał udział w różnego rodzaju działaniach mających na celu propagowanie idei legionowej w sztuce. W 1923 roku został odznaczony Krzyżem Komandorskim Odrodzenia Polski, a w 1929 roku – Medalem Dziesięciolecia Odrodzonej Polski.

W okresie międzywojennym Teodor Axentowicz nie zwalniał tempa. Robił to co kochał najbardziej – malował i uczył. Udzielał się w życiu towarzyskim. Był stałym gościem kawiarni w Grand Hotelu przy ul. Sławkowskiej. Cała śmietanka artystycznego Krakowa tu się schodziła. Razem z Antonim Wasilewskim jesteśmy w „Grandzie”. „Tam właśnie, w ostatniej sali, na podniesieniu góruje nad całą salą – stolik mistrzów

22 F. Klein, Notatnik krakowski, Kraków 1965, s. 149-150.

23 S. Krzysztofowicz-Kozakowska, A. Kieniewicz, Teodor Axentowicz (1859-1938), s. 16.

pędzla. Właśnie przy nim już siedzi Pautsch z powiewnymi, jasnymi włosami a la Chopin, Kamocki, Weiss z oryginalnym wąsikiem i Jarocki w okularach, specjalista od Huculów i dobrych, śnieżnych warunków na Howerli czy Kasprowym.”²⁴. Profesorowie byli bardzo weseli. Żartowali z siebie nawzajem. Najgłośniej śmiali się z tych, których przy stoliku akurat nie było. Potem, gdy już rozmawiali z nieszczęśnikami, gratulacjom i pochwałom nie było końca. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tej gry i akceptowali jej reguły. „Przez głowy gości kawiarnianych miłe gronko malarskie dostrzegło sylwetkę mistrza Axentowicza. Właśnie wychodzi z garderoby, krocząc dostojnie niczym księżę Sapieha. »Idzie ten stary ramol, bawidamek. Gdyby nie koneksje z arystokracją, dawno by już zginął z głodu. Przecież ten jego portret na wystawie nie trzyma się kupy... Kto właściwie decyduje o zawieszeniu obrazów?«. Prof. Axentowicz wita się uroczyście, jako że należy do grona najwytworniejszych mężczyzn Krakowa. »Ach, witamy drogiego pana profesora, witamy. No, pogratulować tego portretu. To chyba najlepsze dzieło w życiu pana profesora! Co za subtelność, jakaż klasa! I te aksamitne pociągnięcia...«”²⁵.

Teodor Axentowicz zmarł osiemdziesiąt lat temu, 26 sierpnia 1938 roku w Krakowie. Miejsce wiecznego spoczynku znalazł na cmentarzu Rakowickim.

W 1948 roku, w dziesiątą rocznicę śmierci Teodora Axentowicza, Franciszek Klein pisał: „Był on jednym z najbardziej popularnych artystów. Miał niezwykle talent stwarzania – nieraz z niczego – prawdziwie pięknych kompozycji. A przy tym te wszystkie jego prace, studia, pastele, rysunki były zawsze owiane nieuchwytnym jakimś czarem poezji i piękną, jakiego byśmy na darmo szukali w malarstwie dzisiejszej doby”²⁶.

24 A. Wasilewski, Sylwetki krakowian, [w:] J. Gintel (red.), Kopic wspomnień, Kraków 1959, s. 425, 426.

25 Tamże

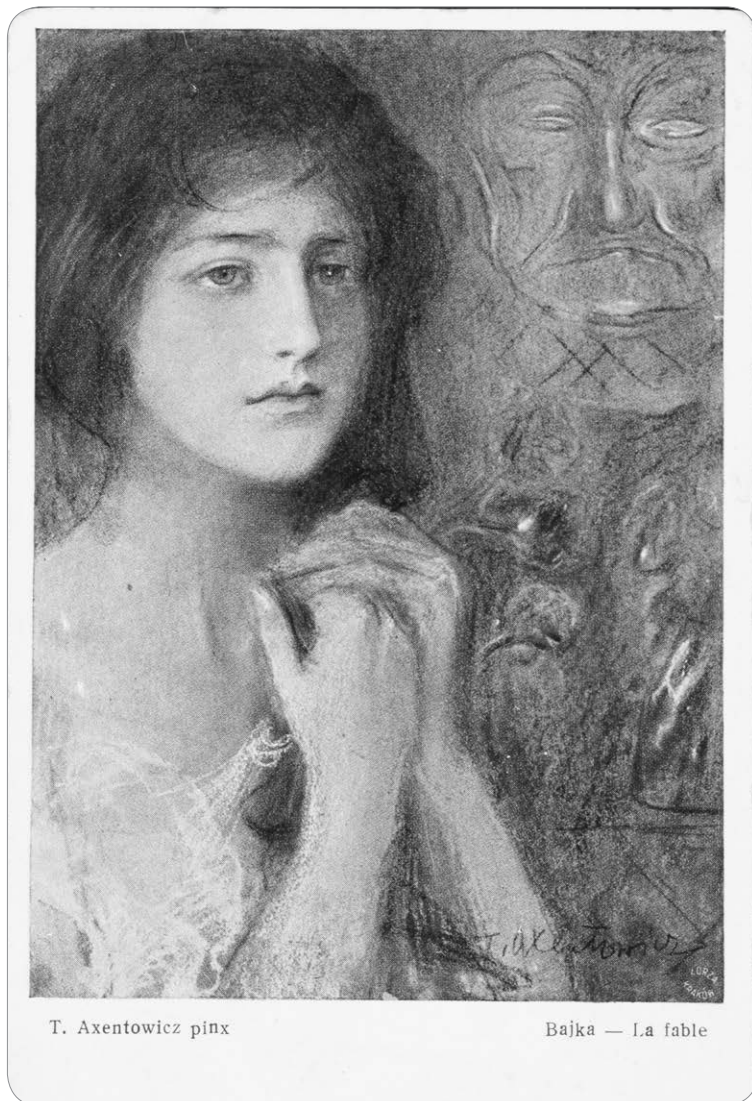
26 F. Klein, Prof. Teodor Axentowicz (W dziesiątą rocznicę zgonu), dz. cyt., s. 6.



Grób Teodora Axentowicza, w którym pochowany został również jego wnuk Adam Kieniewicz, zmarły 9 stycznia 2020 roku.

Pocztówki autorstwa Teodora Axentowicza

ze zbiorów dostępnych na www.POLONA.pl



T. Axentowicz pinx

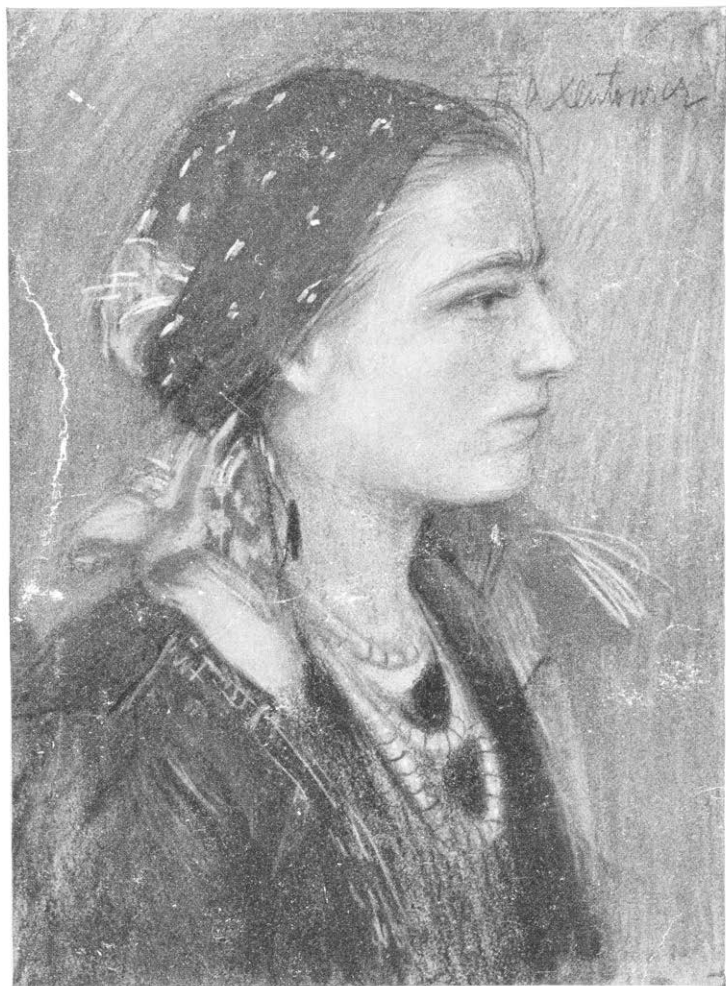
Bajka — La fable



Г. Ахентович.

Белиняк.





T. Axentowicz

Góralka — Montagneuse

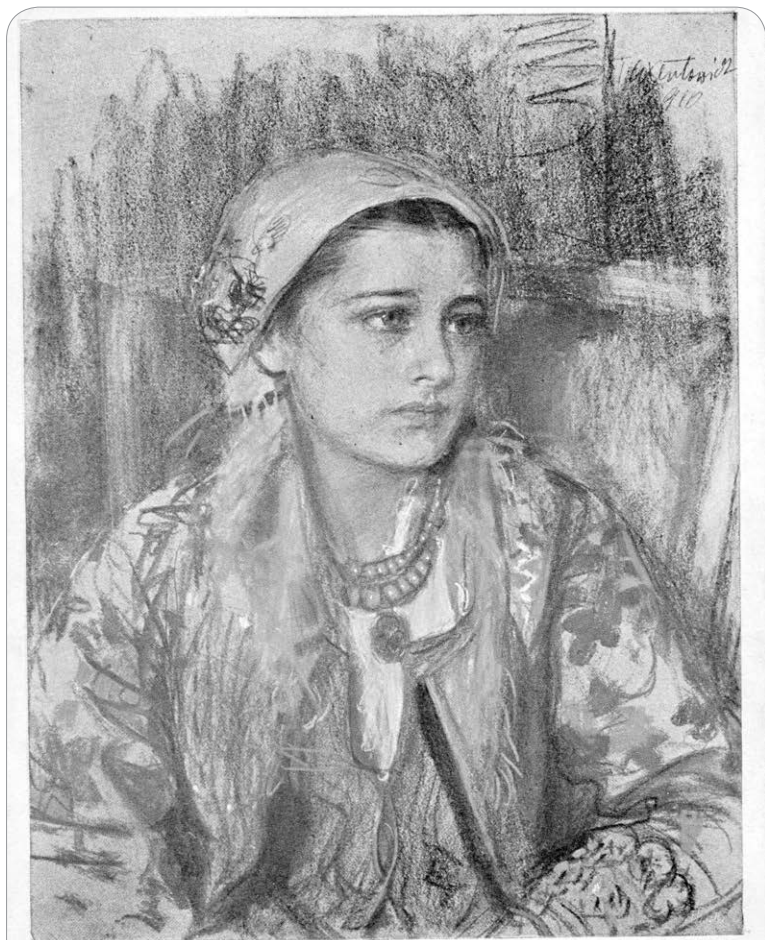


T. AXENTOWICZ.

HUCUŁKA.



T. AXENTOWICZ.



T. Axentowicz

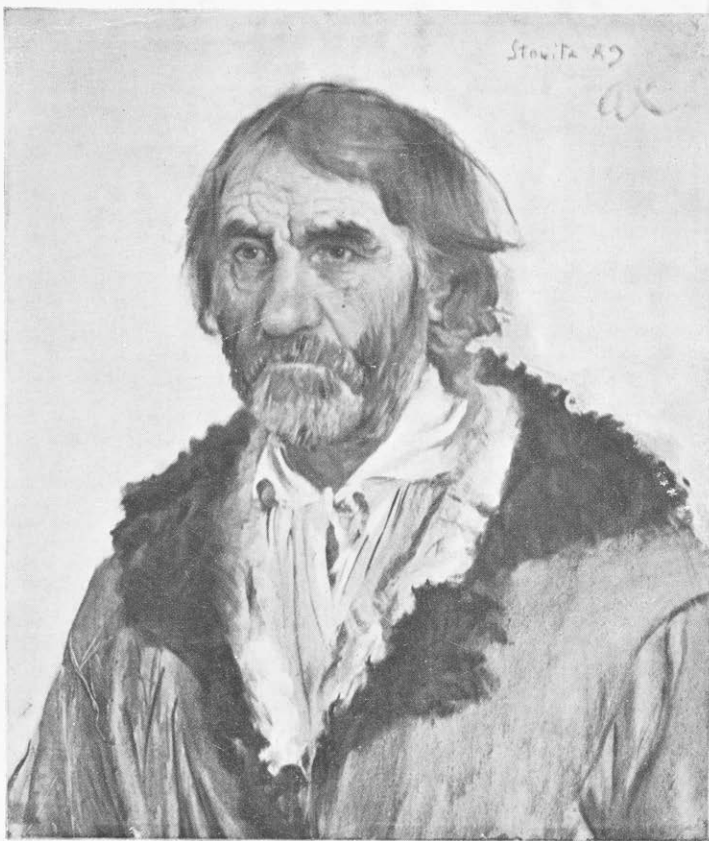
Jadwińska — Hedwige





T. Axentowicz

Mateczka — Amour maternelle



T. Axentowicz.

Naśladownictwo zastrzeżone. Nr 57.
NAKLAD J. CZERNECKIEGO, WIELICZKA 1908.



T. AXENTOWICZ.

a nie przyjęła. Później to Sofia unieśliwie
 klamała. Aż w końcu tego by nie było wolałabym żeby
 przyjęła, jeżeli wchodzi takiego towarzysza. Jak
 przyjęła do Krakowa to wiesz ci dokładnie





T. AXENTOWICZ

Wielki, jasny i tliki stał -
jak sam, w swoim i kochanym
Państwie, w obięciu - widać, jak
był umysłowy, miły, wrodzony, jak
nieśmiertelny! Ciepły, serdeczny, kochany
Państwo, pamięć jego, zawsze od Pana
 NAKŁAD J. OZARNECKIEGO, WIELICZKA 1907.

Nasładowictwo zastrzeżone. - Tous droits réservés. - Nachahmung vorbehalten.





T. Axentowicz



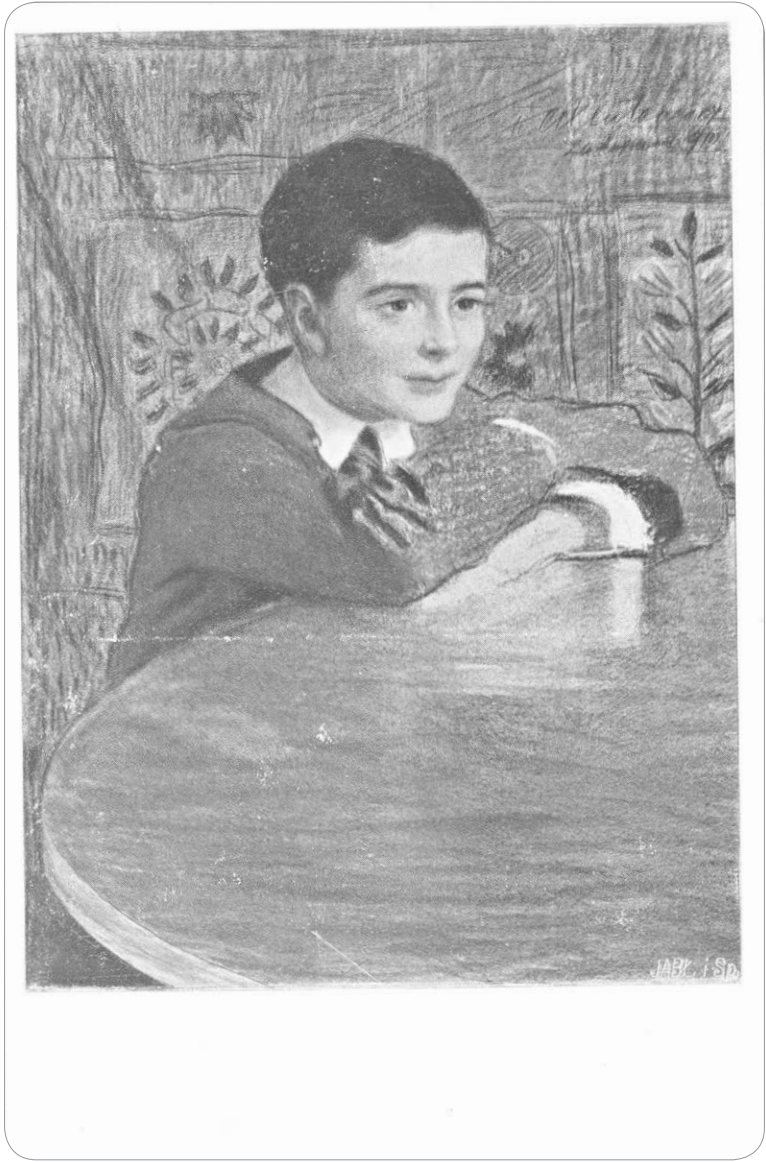
T. AXENTOWICZ.

RUSINKA.



I. Axentowicz

Studjum



Wspomnienia armenisty

Andrzej Pisowicz

Na wstępie chcę wyraźnie zaznaczyć, że nie mam ormiańskich „koren”i”. Piszę o tym, bo – skoro jestem armenistą – to można by się spodziewać, że od dziecka byłem zainteresowany Armenią i jej sprawami. Tak nie było.

Na dodatek moje nazwisko, zakończone na *-wicz*, może się komuś wydawać ormiańskie, skoro główne rody Ormian polskich to: Abgarowicze, Agopsowicze, Amirowicze, Bohosiewicz, Isakowicze, Krzeczunowicze, Manugiewicz, Mojzesowicze, Nikorowicze, Stefanowicze, Zadykiewicz itd. (w porządku alfabetycznym!). To również nie tak należy kojarzyć. Wręcz odwrotnie. Ormianie polscy przejęli sposób tworzenia nazwisk od Polaków, a ci z kolei (w przypadku nazwisk zakończonych na *-wicz*) naśladowali pod tym względem kresowych Rusinów zwanych obecnie Ukraińcami.

Rdzennie polskie nazwiska (tworzone głównie od męskich imion osobowych) a także nazwy miejscowości wykazują spółgłoskę „c” a nie „cz”, np. Klonowic, Szymonowic; Katowice, Baranowice. To są formy zachodniosłowiańskie. A na kresach wschodnich Rzeczypospolitej Obojga Narodów dominowały formy wschodniosłowiańskie: Mickiewicz (od „Mićki”, zdrobnienia imienia „Dymitr”), por. rosyjskie *patronimica* typu Pietrowicz (syn Piotra). Rdzennie polskiej nazwie miejscowości Baranowice (na Śląsku) na Białorusi odpowiada nazwa miasta Baranowicze. Itd., itd.

Moje nazwisko brzmiało pierwotnie (do połowy XIX wieku): Piesowicz. Pochodziło albo od zdrobnienia imienia Piotr: Piech, Pieszek (z mazurzeniem > Piesek, por. nazwę Pieskowa Skała), albo od... „psa”. Prof. Kazimierz Rymut w swym słowniku zatytułowanym *Nazwiska Polaków* (Ossolineum 1991, str. 210) podaje nazwisko Pies (od: *pies*) zanotowane w 1409 roku. Bardziej prawdopodobna jest jednak wersja kojarząca moje nazwisko z Piotrem. Wskazywałaby na to informacja o nazwisku Piechowski. Tak się nazywał przodek Piesowiczów (informacja od dalekiej krewnej).

Nazwiska na *-wicz* nosiła na kresach wschodnich szlachta, natomiast na terenach pogranicza polsko-ruskiego także chłopci nosili takie nazwiska.

Mój najstarszy przodek, którego metryka się zachowała, Marcin Piesowicz, urodził się pod koniec XVIII wieku we wsi Głogów Małopolski (teraz miasteczko) koło Rzeszowa i uprawiał zawód szklarza. Nie był szlachcicem (ani Rusinem) tylko polskim chłopem z klasy tzw. wolnych chłopów, którzy nie byli zobowiązani do odrabiania pańszczyzny lecz utrzymywali się z innych zajęć, np. z uprawiania rzemiosła.

Potomkowie wspomnianego Marcina Piesowicza, który zadbał o wykształcenie swych dzieci, byli już przedstawicielami innej grupy społecznej: inteligencji wiejskiej. Byli to nauczyciele, urzędnicy a czasem także organiści. Mój ojciec, Waclaw Pisowicz, był z wykształcenia prawnikiem. Podobnie przedstawia się mój „rodowód po kądzieli”. Moja matka, Irena Sikorska-Pisowiczowa, była córką urzędnika sądowego, który pracował i mieszkał z rodziną we wsi Liszki pod Krakowem. Przed drugą wojną światową mama ukończyła studia romanistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. To po niej odziedziczyłem zainteresowania językowe. Pamiętam, że nieraz zastanawiała się nad jakimiś nazwami „własnymi” i zadawała pytanie: „a czy to coś znaczy?”

Moi rodzice pobrali się w 1938 r., a ja przyszedłem na świat w Zadzuski (2 listopada) 1940 r. we wsi Siedliska pod Miechowem (na północ od Krakowa). Po wojnie, w 1946 r. ojciec podjął pracę w leśnictwie (jego pasją było myślistwo) i mieszkaliśmy w kilku wsiach na Śląsku. W 1954 r. ojciec został nadleśniczym we wsi Warcino, na Pomorzu Środkowym (około 30 km na południe od Słupska). A ja wtedy rozpocząłem naukę w Liceum Ogólnokształcącym TPD (Towarzystwa Przyjaciół Dzieci) w Słupsku przy ul. Mickiewicza. Mieszkałem w internacie przy ul. Szczecińskiej, a potem rodzice wynajmowali mi pokój „na mieście”.

Z okresu lat 1954–57, które spędziłem w owym pomorskim (poniemieckim) Słupsku, pochodzą moje pierwsze wspomnienia związane z językiem ormiańskim. Ale zanim je tu dokładniej przywołam, scharakteryzuję „tło kulturowe” tamtych czasów.



W szkole od V klasy podstawówki (wieś Sieraków Śląski na północ od Lublińca, rok szkolny 1950/51) uczyłem się języka rosyjskiego. To był dla mnie pierwszy język obcy. Polską rządili wtedy „sterowani przez Moskwę” komuniści. Jeszcze na Kremlu żył (do 5 marca 1953 r.) dyktator władający Związkiem Radzieckim, Józef Stalin (prawdziwe nazwisko: Dżughaszwili). Nauka rosyjskiego była obowiązkowa i rozpoczynała się

w piątej klasie. Miała „uzasadnienie” czysto ideologiczne. Rosjan w Polsce nie było (poza bazami wojskowymi) i znajomość języka rosyjskiego nie była właściwie nikomu u nas potrzebna, bo przecież Polska (tak zwany PRL = Polska Rzeczpospolita Ludowa) miała kulturową autonomię i w administracji używany był tylko język polski (inaczej niż w tzw. „Kongresówce” z XIX wieku). Chodziło o to, byśmy na codzień czuli, że o naszych losach decyduje Rosja. Nigdy tej nazwy oficjalnie nie używano. Był tylko Związek Radziecki (pełna nazwa: Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich), a w nim: Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka.

Propagowano odgórnie wszystko, co było rosyjskie i sowieckie. To ostatnie słowo było zakazane, bo w przedwojennej Polsce miało negatywne konotacje (można było je usłyszeć w mowie potocznej i w zagranicznych programach radia BBC oraz Wolnej Europy). Oficjalnie używano tylko przymiotnika „radziecki”, utworzonego od rzeczownika „rada”. Takie właśnie znaczenie miał rosyjski rzeczownik „sowieł”. W potocznej (oficjalnie tępionej) polszczyźnie Sowiet (pisany dużą literą) oznaczał człowieka, obywatela Związku Sowieckiego (= Radzieckiego). Mówiło się na przykład (ale nigdy w polskim, „krajowym” radio): „Sowieci nas wprawdzie wyzwolili spod okupacji niemieckiej ale zastąpili ją swoją: wywożą z Polski węgiel, grabią nasz kraj, narzucają cenzurę” itp.

Natomiast w PRL-owskich środkach przekazu (radio, prasa, później także telewizja) wszystko, co pochodziło ze Wschodu ukształtowanego po pierwszej wojnie światowej przez bolszewików, było wspaniałe. A to, co miało zapach zachodniego „kapitalizmu” miało być złe i niesprawiedliwe.

Nauka języka zachodnioeuropejskiego zaczynała się wtedy dopiero w szkole średniej, tj. w I klasie licealnej lub w VIII klasie „ogólniaka”. W moim przypadku był to język angielski. Oczywiście my, młodzi, wolelibyśmy wtedy więcej (i wcześniej!) uczyć się angielskiego (choćby dlatego, że trudniejszy i wymagał więcej czasu) niż rosyjskiego, który jako spokrewniony z polskim, bo słowiański, był dla nas łatwiejszy. Ale nie od nas zależał program szkolny.

Rosyjskiego uczyła mnie w Słupsku (w latach 1954–57) żona dyrektora Liceum Ogólnokształcącego TPD, pani Wilczewska. Bardzo dobra nauczycielka. Umiała interesująco mówić o klasycznej literaturze rosyjskiej. Po rosyjsku mówiła doskonale, bo – jak się wiele lat później dowiedziałem – była córką rosyjskiego duchownego i znała język rosyjski na równi z polskim.

Książki rosyjskie były w Polsce sprzedawane, w celach propagandowych, po cenach o połowę niższych niż w ZSRR. No i kupiłem sobie

w księgarni w Słupsku za tanie pieniądze dwa przypadkowe tomy *Boł'szaj sowietskoj encykłopedii* czyli „Wielkiej encyklopedii radzieckiej”. Przeglądając te grube tomy zauważyłem, że pod hasłami dotyczącymi Armenii i Gruzji (które były wtedy tzw. „republikami związkowymi” ZSRR) bibliograficzne informacje zawierały czasem pozycje napisane jakimś tajemniczym, nieczytelnym (dla mnie) pismem. Były to zapisy w języku ormiańskim (dziwnie „kwadratowe”) i gruzińskim („okrągłutkie”). Zaintrygowały mnie, ale jeszcze wówczas nie wiedziałem, że język ormiański stanie się kiedyś moją naukową specjalnością.

Taki był mój pierwszy kontakt z ormiańską kulturą.



W październiku 1956 roku zaszły w Polsce zmiany społeczno-polityczne. Równoległe do „destalinizacji” w ZSRR (tajny referat szefa Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, Nikity Chruszczowa, wygłoszony na XX zjeździe tej partii, zatytułowany „O kulcie jednostki i jego następstwach”) także w PRL-u nastąpiła tzw. „odwilż” (w sensie politycznym). Władzę w Polsce (jako pierwszy sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej) objął Władysław Gomułka, więziony w czasach stalinowskich za rzekome (a może prawdziwe?) „odchylenie nacjonalistyczne”. Masy Polaków ufały mu, że skoro był więziony, to może, objąwszy ster rządów, zmniejszy jakoś naszą zależność od sowieckiej Rosji. Tak się, niestety, nie stało, ale pewne korzyści z tej zmiany władzy Polska odniosła: w dziedzinie rolnictwa (odstąpiono u nas od przymusowej kolektywizacji wsi) i kultury (cenzura na jakiś czas „poluzowała”).

Po zdaniu matury w maju 1957 roku przyjechałem z Pomorza do Krakowa, żeby na początku lipca zdawać egzaminy wstępne na Uniwersytet Jagielloński. Jako kierunek studiów wybrałem filologię orientalną, bo w szkole średniej interesowała mnie wprawdzie geografia (opisy dalekich krajów), ale z czasem zorientowałem się, że najbardziej w obcych krajach pociągają mnie... egzotyczne nazwy geograficzne. A nazwy to przecież domena języka. No i pociągnęło mnie językoznawstwo orientalne.

Pewien wpływ na mój wybór wywarła (oczywiście tylko pośrednio)... wojna koreańska lat 1950–53. Mieszkałem wtedy z rodzicami (od 1951 roku) w Brynku koło Tarnowskich Gór (Śląsk). Ojciec był nauczycielem w tamtejszym Technikum Leśnym. Pamiętam, że ludzie byli u nas przejści przebiegiem tej wojny (która, choć daleka, mogła się przerodzić

w... trzecią wojnę światową). Jednocześnie wiązano z tymi obawami jakieś dziwne pozytywne (!) oczekiwania, że wojna (ewentualna) ZSRR z USA (Amerykanie interweniowali w Korei Południowej broniąc jej przed inwazją komunistycznej Korei Północnej) może Polsce przynieść wyzwolenie tak jak pierwsza wojna światowa (1914–18).

W następstwie owej wojny (koreańskiej) pojawiły się w Polsce sieroty koreańskie. Między innymi do Technikum Leśnego w Brynku trafiło dwóch młodych Koreańczyków: Coj Hwa Sun i Rjan Thek Rjon (tak zapamiętałem ich imiona i nazwiska). Zaprzyjaźniłem się z nimi. Uczyli się mówić po polsku, a ja goszcząc w ich pokoju przeglądałem ich słowniki i ... nauczyłem się liter koreańskiego pisma fonetycznego. Poza tym ćwiczyliśmy często razem na poręczach gimnastycznych, które stały niedaleko naszego domu i jednocześnie blisko Technikum (dawniej: pałac niemieckich arystokratów o nazwisku: Donnersmarck).

Po krótkich wahaniach, czy wybrać – jako przedmiot studiów – japończykę (w Warszawie) czy iranistykę (w Krakowie), zdecydowałem się na tę drugą opcję. I po pomyślnym zdaniu egzaminów wstępnych w lipcu, na początku października 1957 roku rozpocząłem studia iranistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim.



Na pierwszym roku (1957/58) najwięcej czasu i energii poświęcałem nauce języka arabskiego. Dwie przyczyny się na to składały. Po pierwsze bardzo mi zależało na praktycznym uczeniu się żywego języka orientalnego. A jedynym lektorem, którego dziś można by nazwać *native speakerem*, był na Uniwersytecie Jagiellońskim Arab z Jordanii, Saleh Hamarneh. Przyjechał do Warszawy w 1955 roku na propagandową imprezę komunistyczną zwaną „Piątym Światowym Festiwalem Młodzieży i Studentów” i został w PRL-u, bo miał lewicowe poglądy, chociaż był chrześcijaninem. Po latach powiedział mi, że był wtedy „młody i głupi”.

Chodziłem zatem z zapałem na zajęcia z języka arabskiego i próbowałem z kolegą z turkologii, Tomkiem Habraszewskim, wymieniać z owym lektorem pierwsze zdania w dziwnie brzmiącym języku arabskim, którego trudna wymowa bardzo nam imponowała.

Drugim powodem skupienia się na nauce tego języka był fakt, że na końcu pierwszego roku czekał mnie trudny egzamin z gramatyki arabskiej. Perską, jako gramatykę języka kierunkowego, miałem zdawać dopiero po dwóch latach nauki – w 1959 roku.

Na drugim roku studiów (1958/59) miałem mnóstwo nauki: trzy języki Bliskiego Wschodu (perski, arabski, turecki) i lektoraty trzech języków zachodnioeuropejskich: angielski, francuski, niemiecki. Do tego miałem jeszcze obowiązkową łacinę (której mnie nie uczono w szkole średniej) i nadobowiązkowy sanskryt (język staroindyjski).

Mój kontakt z językiem ormiańskim rozpoczął się jesienią 1959 r., gdy byłem studentem trzeciego roku iranistyki. Dyrektor naszego Instytutu Filologii Orientalnej, arabista, profesor Tadeusz Lewicki, którego babcia była polską (lwowską) Ormianką, zatrudnił księdza Kazimierza Roszkę do prowadzenia lektoratu języka ormiańskiego. Ksiądz Roszko pochodził z polskich Ormian mieszkających przed wojną na pd. wschodnich kresach II Rzeczypospolitej Polskiej. Kazimierz Roszko w latach 1930. studiował w Papieskim Kolegium Ormiańskim w Rzymie, gdzie nauczył się języka zachodnioormiańskiego. W 1938 roku został wyświęcony na kapłana katolickiego obrządku ormiańskiego. Był proboszczem kościoła Świętej Trójcy w Gliwicach, gdzie odprawiał nabożeństwa w obrządku ormiańskim.

Raz w tygodniu przyjeżdżał z Gliwic do Krakowa i uczył grupę kilku osób języka zachodnioormiańskiego z podręcznika napisanego po francusku przez francuskiego armenistę, profesora Frédérica Feydita. Na zajęcia księdza Roszki chodziła, prócz mnie, moja późniejsza żona, studentka iranistyki Jadwiga Wiśniewska, a spoza orientalistyki – sławista i językoznawca ogólny (także indoeuropeista), Leszek Bednarczuk, późniejszy profesor krakowskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej (obecnie: Uniwersytet Pedagogiczny).

W maju 1960 roku przyjechał do Krakowa z Armenii prorektor Uniwersytetu Erywańskiego, prof. Wacze Symbatowicz Nalbandian, specjalista w zakresie literatury staroormiańskiej. Zaprosił go (był) wspomniany wyżej prof. Tadeusz Lewicki, w ramach promowania zainteresowań armenistycznych. I przez tydzień wielu studentów słuchało wykładów (w języku rosyjskim) profesora Nalbandiana na temat literatury ormiańskiej V wieku.

Zwróciłem się przy tej okazji do obu profesorów z zapytaniem, czy mógłbym pojechać do Armenii, by studiować tam filologię ormiańską. Chciałem koniecznie uczyć się jakiegoś języka tam, gdzie jest używany, żeby mieć codzienną praktykę. Ponadto wiedziałem już, że język ormiański (izolowany język należący do wielkiej rodziny indoeuropejskiej) zawiera setki zapożyczeń ze starożytnych języków irańskich: średnioperskiego i partyjskiego, jako że w I wieku ery chrześcijańskiej władzę w Armenii przejęli Partowie i dwór królewski, zanim uległ armenizacji, mówił po partyjsku. Liczne wyrazy z tego języka weszły do ormiańskiego.

Zatem znajomość języka ormiańskiego jest bardzo przydatna przy studiach iranistycznych. A ja wciąż się czułem wtedy przede wszystkim iranistą. Z czasem to się zmieniło. Zostałem zaangażowanym emocjonalnie armenistą i do dziś uczę z przyjemnością języka ormiańskiego on-line (z powodu epidemii wirusa „koronastego”, która się rozlała po całym świecie w 2020 roku).

Obaj profesorowie (Lewicki i Nalbandian) obiecali mi poparcie. Potem, przez cały rok akademicki 1960/61, gdy już byłem studentem IV roku studiów iranistycznych, kontynuowałem naukę języka zachodnioormiańskiego u księdza Roszki.

Pewnego razu przysłała z Armenii paczka książek armenistycznych dla biblioteki naszego Instytutu Filologii Orientalnej (teraz nazwa jest nieco inna: Instytut Orientalistyki). Była to mała biblioteczka najważniejszych dzieł potrzebnych do studiowania armenistyki, zawierająca m.in. jeszcze przedrewolucyjne wydania tyfliskie klasyków ormiańskiej historiografii z V wieku, np. *Patmutjun Hajoc* („Historia Armenii”) Mojżesza z Chorenu (Mowses Chorenacy). Pamiętam, jak prof. Lewicki chwalił profesora Nalbandiana (który spowodował przysłanie nam tego księgozbioru z Erywania), że jest jednym z niewielu zagranicznych gości, którzy obiecali jakieś książki przysłać i obietnicę spełnili.



Starania o mój wyjazd do Armenii trwały cały rok akademicki 1960/61. Władze naszego Instytutu połączyły je ze staraniami o wyjazd mego kolegi, turkologa Janka Ciopińskiego, do Taszkientu, gdzie miał się uczyć języka uzbeckiego.

I latem 1961 roku formalnościom stało się zadość. Pod koniec sierpnia wyjechaliśmy na wschód, do kraju, oficjalnie nazywanego w Polsce, jak już wspominałem, Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich. Obaj z Jankiem wsiedliśmy w Warszawie do pociągu specjalnego, który miał zawieźć grupę ponad stu polskich studentów do Moskwy. Po raz pierwszy przekraczałem granicę PRL-u. Było to w Terespolu nad Bugiem.

Po sowieckiej (wtedy oficjalnie mówiło się tylko: radzieckiej) stronie leżało miasto Brześć (nad Bugiem). Pociąg stał tam ze dwie godziny, nie tylko z powodu formalności paszportowych, ale także dla wymiany kół pod wagonami, bo sowieckie tory były szersze niż u nas. Na peronie z zaciekawieniem oglądałem rosyjskie napisy i słuchałem zapowiedzi

pociągów, które brzmiały bardziej pompatycznie niż po polsku: *Внимание, внимание, объявляется посадка на скорый поезд Варшава-Москва!* („Uwaga, uwaga, ogłasza się wsiadanie do pociągu pośpiesznego Warszawa-Moskwa!”). Po polsku byłoby raczej: „Uwaga, uwaga, pociąg pośpieszny relacji Warszawa-Moskwa stoi na torze X przy peronie Y.”

Pamiętam, że wielu kolegów w pociągu, który jechał później przez Białoruś, popijało alkohol, co mnie zdegustowało. Tak to było: Polacy jeżdżący na Zachód zachowywali się często tak, by nikt nie poznał, że są przybyszami ze wschodniej, a więc „gorszej”, Europy. A jadąc na wschód polscy studenci dawali do zrozumienia (nie wiadomo, komu, bo w pociągu byli raczej „sami swoi”), że są „lepsi”, więc mogą jechać nawet po pijanemu. Wstyd mi było za to swoiste zachwianie równowagi, jakby Polak nie mógł po prostu normalnie opuścić swego kraju nie zaznaczając tego, w którą stronę świata wyjeżdża.

Tuż przed Moskwą w każdym przedziale rozległ się bardzo uroczystym tonem wypowiedany komunikat: *Внимание, внимание, наш поезд приближается к столице Советского Союза, городу Москве!* („Uwaga, uwaga, nasz pociąg zbliża się do stolicy Związku Radzieckiego, do miasta Moskwy!”). Wydobywające się z głośnika dźwięki brzmiały tak dostojnie, jakby od pasażerów oczekiwano, że wstaną i nadadzą twarzom podniosły wygląd ze wzruszenia.



W Moskwie spędziliśmy kilka dni w jakimś domu akademickim, dość biednym. Było chłodno jak na początek września. Z Jankiem Ciopińskim chodziliśmy po księgarniach, a parę godzin spędziliśmy w okolicy Zaułka Ormiańskiego (po rosyjsku: *Armianskiy Pierieutok*). Tam się mieściła ważna budowla związana z Ormianami i rosyjską orientalistyką, więc uznaliśmy za konieczne pojawienie się w tamtej części Moskwy (w centralnej części miasta, na wschód od Kuznieckiego Mostu).

Wspomnianą budowlę wzniosła na początku XIX wieku bogata rodzina ormiańska o nazwisku Lazarian (w wersji rosyjskiej: Łazariew). Mieścił się w niej Łazariewski Instytut Języków Orientalnych (*Лазаревский институт восточных языков*). Przez długie dziesięciolecia była to wyższa uczelnia, a w latach 1953–1977 ów piękny gmach przypominający pałac funkcjonował jako siedziba Instytutu Orientalistycznego Akademii Nauk ZSRR. Obecnie (rok 2020) zajmuje go Ambasada niepodległej Armenii w Moskwie.

Tak się złożyło, że poznaliśmy tam przemiłą Ormiankę, panią Loretę Ter-Mykyrtczian. Jako pracownik naukowy Instytutu Orientalistycznego zajmowała się ormiańskimi źródłami pisanymi do dziejów Azji Środkowej. Zaprosiła nas do siebie (mieszkała niedaleko) i poczęstowała przepysznymi konfiturami, które sobie nakładaliśmy na pierniczki. W parę miesięcy później spotkałem panią Loretę w erywańskim Matenadaranie (patrz niżej).

W Moskwie przez te kilka dni załatwiano różne formalności związane z miejscem dalszego pobytu polskich studentów. Większość miała zostać w Moskwie. Spora grupa pojechała do Leningradu (czyli dawnego i obecnego Sankt-Petersburga). Cztery osoby miały jechać dalej do Baku (w Azerbejdżańskiej SRR) studiować inżynierię naftową. A dwóch orientalistów czekały podróże indywidualne: Jan Ciopiński pojechał pociągiem z dworca Kazańskiego do Taszkientu (gdzie „wytrzymał” niedługo i przeniósł się na zwykłą turkologię do Leningradu). A ja wyruszyłem z dworca Kurskiego na południe, do Armenii.



Podróż pociągiem pośpiesznym na trasie Moskwa-Erywań (przez: Kursk, Charków, Rostów nad Donem, Majkop, Tuapse, Soczi, Suchumi, Oczamczire, Gori i Tyflis czyli Tbilisi) wspominam bardzo miło. Trwała 57 godzin, ale wcale się nie nudziłem. Nikt się nie śpieszył. Ludzie nawiązywali ze sobą sympatyczne kontakty towarzyskie.

W każdym przedziale (zwanym po rosyjsku z francuska „kupie” < *co-upé*) były cztery miejsca leżące (u nas funkcjonuje inne francuskie słówko: „kuszетка” < *couchette*): dwa na dole i dwa na górze („na piętrze”). Towarzyszyli mi ludzie różnych narodowości. Jakies starsze małżeństwo przedstawiło mi się słowami: *мы русские евреи* („jesteśmy rosyjskimi Żydami”), co mnie mile zaskoczyło, bo u nas raczej trudno było sobie wyobrazić analogiczną wypowiedź.

Poza Ormianami, których w pociągu do Armenii było oczywiście dużo, poznałem jednego żołnierza-Osetyjczyka (dawniej Polacy mówili: Osetyńca). Pamiętam też ciekawą rozmowę z blondynką przedstawiającą się słowami: „a ja – Niemka” (po rosyjsku zdanie to brzmi tak samo jak po polsku). Kiedy inni podróżni kwestionowali prawdziwość jej deklaracji słowami: „A umiesz ty w ogóle mówić po niemiecku?” dziewczyna odpowiedziała z dumą: „Jasne, że umiem. Widziałeś kiedy Niemca, który by nie umiał (mówić) po niemiecku?”

Kojarzy mi się to z pretensjami do niemieckości wielu Ślązaków, którzy nie znają języka niemieckiego, bo mówią z dziada-pradziada śląską gwara języka polskiego, a przedstawiają się jako Niemcy tylko na tej podstawie, że ich przodkowie mieli obywatelstwo niemieckie. Moi rodzice urodzili się przed pierwszą wojną światową, a więc formalnie byli w dzieciństwie obywatelami Cesarstwa Austro-Węgierskiego, ale do głowy by mi nie przyszło uważać się z tego powodu za Austriaka. I chyba żadnemu innemu Polakowi z dawnego zaboru austriackiego.



Ale wracam do opisu mojej pierwszej podróży z Moskwy na Zakaukazie, jak kiedyś określano Gruzję, Armenię i Azerbejdżan (sowiecki). W Rostowie nad Donem zapachniało po raz pierwszy Wschodem: czuć było orientalne szaszłyki sprzedawane na peronie dworca kolejowego.

Nad ranem drugiego dnia podróży syciłem wzrok widokami pagórkowatych okolic leżących na północ od Kaukazu, a potem – widokiem lazurowego (tak je zapamiętałem) Morza Czarnego. Przez kilka godzin pociąg jechał wzdłuż wybrzeża: od Tuapse (jeszcze w Federacji Rosyjskiej) aż do Oczamczire w Gruzji.

Wszedł tam gdzieś do naszego wagonu jakiś miejscowy Ormianin. Poprosiłem go, by mi zaprezentował oryginalną wymowę ormiańską paru słów. I bardzo się zdziwiłem, że mówił *dun* w znaczeniu naszego „domu”, a więc tak jak w podręczniku Feydita do języka zachodnioormiańskiego. W Erywaniu, według tego, com wyczytał w podręczniku języka wschodnioormiańskiego A. Gharibiana (napisanym po rosyjsku), mówi się przecież *tun*. Dopiero później się dowiedziałem, że Ormianie mieszkający w Abchazji (okolice Suchumi, wtedy na terytorium Gruzińskiej SRR) przybyli tam z Turcji, a więc z historycznej Zachodniej Armenii. I mówili tak jak ich przodkowie, po zachodnioormiańsku (zapewne jakimś dialektem), nie wzorując się na wymowie erywańskiej.

Z godzin spędzonych w pociągu jadącym przez Gruzję pamiętam przede wszystkim słońce i upał. Natomiast rankiem trzeciego dnia podróży obudziłem się już w Armenii wśród chłodu kamiennych krajobrazów. Wiadomo, Ormianie mówią na swoją ojczyznę żartem: *Hajastan* – *Karastan* (z przydechowym „k”), czyli „Armenia – Kraina kamieni”.

W pociągu dojeżdżającym stopniowo do Erywania zaopiekował się mną starszy ode mnie (miałem wtedy 21 lat) historyk, Rem Kazandżian. Uprzejmie objaśnił mi, jak mam z dworca kolejowego (przed którym stał

już wtedy imponujący pomnik Dawida z Sasunu na koniu) dotrzeć do domu akademickiego przy prospekcie (czyli alei) Stalina numer domu 52. Tak, to był jeszcze czas, w którym Stalin był patronem wielu ulic. A jego ogromny pomnik (obalony w następnym roku i zastąpiony pomnikiem Matki-Armenii) stał majestatycznie na wzgórzu ponad Muzeum Dawnych Rękopisów – Matenadaranem.

Imię mojego pierwszego przewodnika po Erywaniu rozszyfrowałem przypadkiem po latach. „Rem” to skrót REM kryjący w sobie pierwsze litery (a więc coś w rodzaju „akrostychu”) trzech haseł propagandowych wczesnego ZSRR: Rewolucja – Elektryfikacja – Mechanizacja. Tenże Rem przysłał mi dobrych parę lat temu, już po upadku komunistycznego ustroju w ZSRR, artykuł, w którym jak mógł przedstawiał Stalina w najlepszym świetle. Odpowiedziałem mu chłodno, że każdemu zbrodniarzowi przysługuje prawo do obrony: zarówno Hitlerowi jak i Stalinowi.

Jak się dowiedziałem ze słownika imion osobowych używanych w ZSRR, istniało także imię będące tzw. „anagramem” czyli „zapisem wstecznym”. Mianowicie Ninel to nic innego jak znany pseudonim wodza rewolucji październikowej, Lenina, czytany „na wspak”. Bo przecież nikt by się nie czuł godny nazywania się wprost „Leninem”. Ten człowiek uległ w ZSRR niemal „deifikacji”. Był tak czczony, że nie wypadało „zwykłym ludziom” nosić jego pseudonimu (naprawdę nazywał się: Uljanow) w charakterze imienia własnego.



Na Uniwersytecie Erywańskim, w budynku Wydziału Filologicznego bardzo serdecznie mnie powitał kierownik Katedry Języka ormiańskiego (*Hajoc lezwi ambioni waricz*), profesor Gurgen Sewak (nie mylić ze znanym poetą, Parujrem Sewakiem), Ormianin z Tyflisu, który umiał nie tylko po ormiańsku (perfekcyjnie, bo to był jego język ojczysty), ale także po gruzińsku i, oczywiście, po rosyjsku.

Porozumiewaliśmy się początkowo po rosyjsku, bo moja znajomość języka ormiańskiego była niewystarczająca. Prof. Sewak dawał mi indywidualne lekcje w swoim gabinecie, w budynku Wydziału Filologicznego (Państwowego Uniwersytetu Erywańskiego – *Jerewani Petakan Hamalsarani Banasirakan Fakultet*).

Pewnego razu zdarzyła się zabawna historia. Gdy już trochę mówiłem po ormiańsku, jakiś gość profesora Sewaka zwrócił się do mnie w tym języku. A ja: „ni be, ni me”. On na to: „Jak to, przecież

słyszałem, jak rozmawiasz z profesorem po ormiańsku?” W końcu wydukałem: „Ale ja tylko z profesorem umiem mówić po ormiańsku. Z innymi ludźmi jeszcze nie.” Miałem to na myśli, że profesor dobrze znał poziom moich wiadomości i potrafił do mnie mówić bardzo wolno.

Natomiast inne osoby mówiły szybko, co utrudniało mi rozumienie ich wypowiedzi. A na dodatek w potocznym języku Erywania było (i jest do dzisiaj) sporo elementów dialektalnych, np. słówko o znaczeniu „jest” w języku literackim brzmi *E*, a w potocznym języku mówionym Erywania używa się formy dialektalnej: *A*. Te okoliczności wpłynęły na to, że w następnym roku akademickim (1962/63) postanowiłem pisać pracę magisterską (dyplomową) z dialektologii ormiańskiej.



W erywańskim domu akademickim po paru dniach spędzonych na parterze w pokoju gościnnym przenieśliśmy się na pierwsze piętro. Przyznano mi miejsce w pokoju trzyosobowym, w którym mieszkało już dwóch Ormian z Bułgarii. Jednym z nich był Eduard Selian, tęgi brunet, który po ukończeniu studiów filologicznych (w zakresie filologii ormiańskiej) w Erywaniu pracował później naukowo w Sofii, by po „zawaleniu się” bloku państw rządzonych przez komunistów wyemigrować do Ameryki. Kilkanaście lat temu wymieniliśmy kilka listów pocztą elektroniczną. Mieszka w Kalifornii.

Drugi Ormianin z Bułgarii miał na imię Karapet (w wymowie zachodnioormiańskiej: Garabed, zdrobniale: Garo). Z Eduardem zwykle rozmawiał po bułgarsku. Ich ormiańszczyzna też dla mnie nie była wzorem do naśladowania, bo mieszał się im język wschodnioormiański, który studiowali w Erywaniu, z zachodnioormiańskim, którym mówili wcześniej od dziecka w Bułgarii.

Po jakichś dwóch tygodniach poprosiłem o zmianę. Wolałem mieszkać w pokoju czteroosobowym (mniej wygodnym niż trójosobowy), byle tylko mieć kontakt z miejscowym językiem wschodnioormiańskim. Moimi kolegami byli w nowym pokoju: chemik Poghos (Boghos) Maghakian (też „zachodni” Ormianin, rodem z Grecji), drugi chemik (dokładniej: student chemii) – Artusz Poczikian (z Achałcyche w płd. Gruzji czyli z Dżawachku) i Albert Sarkisjan z Leninakanu (obecnie: Giumri, tak jak w dawnych wiekach), fizyk, z którym spotkałem się w 2012 roku podczas pobytu w Erywaniu. Ten ostatni z wymienionych kolegów, którzy byli moimi *senjakakicami* (czyli: „współpokojujowcami”), zrobił karierę naukową. Został rektorem wyższej uczelni związanej z Narodową Akademią Nauk Armenii.

Natomiast wtedy, w domu akademickim, zdarzyła mi się krótka rozmowa z jakimś kolegą Alberta, którą zapamiętałem, bo była świadectwem nieustalonego jeszcze w latach 1960. stanu ormiańskich nazwisk. Otóż ów kolega Alberta, nieznany mi, zapukał raz do drzwi naszego pokoju i zapytał o studenta fizyki, Alberta, z Leninakanu. Wszystko się zgadzało oprócz nazwiska. Ów kolega nie powiedział „Sarkisjan”, tylko wymienił jakieś inne nazwisko. Okazało się, że Albert w szkole średniej nosił jeszcze nazwisko urobione widocznie od imienia drugiego dziadka. I dopiero gdy skończył osiemnaście lat, w rodzinie przeprowadzono ostateczną „korektę” nazwiska i ustalono, że Albert będzie się nazywał „Sarkisjan”. W Armenii do dziś nazwisko nie jest tak „reprezentatywne” jak u nas. Wielu ludzi jest znanych przyjaciółom tylko z imienia.



Wspomniałem już, że ulica, przy której mieszkałem w Erywaniu, nosiła nazwę alei (po rosyjsku: *prospiekt*, po ormiańsku: *poghota*) Stalina. W 1962 roku zmieniono tę nazwę na aleję Lenina. Pociągnęło to za sobą pewne perturbacje adresowo-pocztowe, ponieważ przedtem istniała już inna aleja Lenina. Tę przemianowano na aleję Tumaniana (klasyka poezji ormiańskiej). Gdy potem ludzie pisali na kopertach: „aleja Lenina”, to biedni listonosze nie wiedzieli, czy chodzi o „nową” aleję Lenina (tzn. dawną: Stalina) czy „starą” (teraz: Tumaniana). I były kłopoty.

W Polsce na miejsce ulic Stalina (czy Lenina również) często pojawiały się, po 1956 roku, nazwy „neutralne” typu: ulica Frontu Jedności Narodowej albo jeszcze inne. Natomiast w ZSRR hierarchia ważności nazw była bardziej sztywna. Po Stalinie najwyższym „patronem” ulic został Lenin.

Obecnie, w niepodległej Armenii, erywańska ulica, przy której mieszkałem w latach 1961–63, nosi nazwę alei (*poghota*) Mesropa Masztoca, twórcy pisma ormiańskiego z V wieku.



Wracam do wspomnień z lat studiów w Armenii. W roku 1962 wziąłem udział w pochodzie pierwszomajowym. W Erywaniu była wtedy piękna, słoneczna (jak zwykle) pogoda. Rozmawiałem z jakimś nieznanym mi wcześniej studentem całkiem swobodnie na tematy polityczne, bo owe lata (do obalenia Chruszczowa przez Breżniewa w 1964 roku) były okresem względnej liberalizacji w ZSRR. Nazywano ten okres

pieriedyszką („nabraniem oddechu”). To był odpowiednik naszej „odwilży” po październiku 1956 roku. Wyklinaliśmy „komunę” zupełnie jedno-myślnie.

A w parę dni później zobaczyłem w gazetce Uniwersytetu Erywańskiego artykuł opisujący ów pochód pierwszomajowy. I wzmianki o tym, co mówił Węgier (Pál Szalmási) i co mówiłem ja, Andrzej Pisowicz z Polski. Jakoby... wychwalaliśmy rzeczywistość radziecką i to w niemal poetyckiej formie.

Kiedy spotkałem potem mojego rozmówcę i dowiedziałem się, że jest dziennikarzem pisującym teksty do owego uniwersyteckiego pismka, ostro go zacząłem krytykować. Mówiłem mniej więcej tak: „coś ty powypisywał? przecież myśmy się wypowiadali w zupełnie odwrotnym duchu, antykomunistycznym”. A on mi grzecznie objaśniał, że jego relacja z manifestacji pierwszomajowej musiała zostać do druku „nieco wygładzona”. Nie zdawał sobie sprawy, że owo „wygładzanie” (rodzaj „redakcyjnej korekty”) polegało na kompletnym „wywróceniu do góry nogami” relacji z rzeczywistością. Tak to było w ZSRR. Stopień zakłamania był nieprawdopodobny. Ludzie uważali, że to tylko kwestia ... ortografii. Mówimy „precz!” a piszemy „niech żyje!”

W Polsce aż tak źle nie było. Cenzura istniała na poziomie publikacji: nie dało się drukować idei krytycznych wobec komunistycznych rządów. Ale mówić prywatnie (nie publicznie) można było, co się chciało. Przynajmniej w latach późniejszych niż epoka stalinowska zakończona liberalizacją („odwilżą”) z października 1956 roku.

A w ZSRR ludzie ze strachu sami się cenzurowali (oprócz okresu chruszczowowskiej „pieriedyszki” 1956–64).



Jedno z ciekawszych moich wspomnień z pobytu na studiach w Erywaniu dotyczy wydarzeń pewnej nocy z drugiej połowy roku 1962. Okazało się, że nie tylko obywatele ZSRR ale także ja, uważający się za mniej podatnego na sowiecką propagandę (bo Polska była krócej rządzona przez komunistów), dałem się przechytrzyć. Otóż pewnego dnia zarządzono tzw. „sztuczne zaciemnienie” miasta. Wieczorem, przed włączeniem elektrycznego oświetlenia, należało starannie zasłonić kocami czy płachtami wszelkie widoczne szpary w oknach tak, by lecący w górze samolot nie dostrzegł, że ma pod sobą wielotysięczne miasto.

Podkreślano przy tym, że nie ma żadnego rzeczywistego zagrożenia. Chodziło (jakoby) wyłącznie o manewr wojskowy, rodzaj ćwiczenia,

które miało być tylko tym uzasadnione, że właśnie trwał wtedy tzw. konflikt kubański. Był on związany ze zwycięstwem rewolucjonistów pod wodzą Fidela Castro, który na wyzwoloną od wpływów amerykańskich Kubę sprowadził sowieckie urządzenia umożliwiające ewentualny atak nuklearny na USA, główny bastion światowego imperializmu (jak się wtedy oficjalnie mówiło w źródłach „reżymowych”). Na dodatek Erywań znajdował się blisko granicy z Turcją, krajem należącym do zachodniego paktu wojskowego NATO. Więc wszystko brzmiało racjonalnie.

I zasłoniliśmy okna kocami pracując (albo rozmawiając) spokojnie dalej. Pamiętam, że wtedy obywatele ZSRR nie wykazywali żadnych lęków przed atakiem ze strony wrogich państw (nie wiem, jak było w Polsce), ponieważ poczucie potęgi Kraju Rad (tak też u nas czasem mówiono na Związek Radziecki) było silne. Po rosyjsku mówiło się dumnie: *Нас все боится* = „Wszyscy się nas boją”.

Ale rano ktoś nas zbudził wołaniem: „patrzcie na pomnik Stalina!” Spojrzeliśmy i co zobaczyliśmy? Jakieś liny przywiązane do rąk i czubka głowy „wielkiego wodza proletariatu”. Okazało się, że pod przykryciem nocy i zarządzonego „sztucznego zaciemnienia” władze próbowały usunąć pomnik Stalina, którego kult coraz mocniej zwalczał wtedy szef sowieckiej partii komunistycznej, Nikita Chruszczow. To był dalszy krok po likwidacji nazw ulic noszących imię Stalina.

Ale sprawa okazała się technicznie trudniejsza, niż przypuszczano. Nie udało się w ciągu nocy obalić ogromnego monumentu (podobno drugiego pod względem wysokości w ZSRR). Prace ukończono dopiero w ciągu dnia i to w atmosferze napięcia, które można by nazwać „etnicznym”. Mianowicie do stolicy Armenii przyjechało natychmiast z sąsiedniej „republikę związkowej” sporo Gruzinów, którzy rano dowiedzieli się (telefony działały), że w Erywaniu przystąpiono do demontażu pomnika ich wielkiego bohatera narodowego. Doszło podobno do jakichś „przepychanek”. Ale w końcu pomnik się wyrócił. To znaczy: zepchnięto z podstaw jego górną połowę będącą kopią postaci Stalina. Dolna połowa, postument, pozostała nienaruszona, by stać się bazą dla postawionego później na niej pomnika Matki-Armenii.

Opowiadano wtedy, że podobno kilku żołnierzy zatrudnionych przy obalaniu pomnika zginęło pod gruzami walących się kamieni. Jeśli to była prawda, to można by rzec, że Stalin zabijał ludzi nie tylko swymi rozkazami wydawanymi za życia, ale także pośmiertnie – ciężarem odłamków swoich pomników.

Kult Stalina do dzisiaj (piszę to pod koniec 2020 roku) cieszy się w Gruzji dużą popularnością. Choć oczywiście nie wszyscy rodacy go czczą.

W Armenii ten kult był słabszy, ale istniał jednak. Pamiętam nielegalne *graffiti*, które zdobiły wtedy, w roku 1962, mury niektórych ulic Erywania. Białą kredą ktoś pisał po rosyjsku (bo to był język wysokiego, „wszechzwiązkowego” prestiżu) dużymi literami: *Ленин + Сталин = Друзья!* (w sensie: Lenin i Stalin byli przyjaciółmi).

Kiedy pytałem moich kolegów z akademika, o co chodzi autorom tych napisów, słyszałem takie mniej więcej odpowiedzi: „Chcą dać do zrozumienia, że nie wierzą w propagandę chruszczowowską zarzucającą Stalinowi liczne masowe zbrodnie.” Studenci, z którymi rozmawiałem, bynajmniej nie podzielali tych opinii, ale przyznawali, że prostsi ludzie w Armenii oceniali Stalina pozytywnie, bo przecież „był sprawiedliwy”: nie oszczędzał swoich rodaków: Gruzinów zginęło w okresie represji 1938 roku, proporcjonalnie do liczby mieszkańców republiki, tyle samo co Ormian, Azerów czy przedstawicieli innych „nacji” (= etnosów).

Szczególnym kultem cieszy się do dziś Stalin w Osetii. Widziałem jego pomnik w górach Północnej Osetii – Alanii w 2010 roku. Ale to całkiem inna sprawa, o której pisałem w dwumiesięczniku „Nowa Europa Wschodnia” (nr 3-4 z 2011 r., str. 112-118: „Bóg, Herodot i duch Stalina”). I w Osetii, i w innych miejscach byłego ZSRR można nieraz usłyszeć opinie typu: „Demokracja to piękna rzecz, dobra dla zachodniej Europy, ale nie nadaje się do kraju o takich rozmiarach geograficznych jak Rosja. U nas, żeby ludzie mogli być zabezpieczeni przed działaniami złodziei i bandytów, musi się rządzić twardą ręką”.

Żeby skończyć wreszcie ze Stalinem, dodam następującą refleksję. Podczas pobytu w ZSRR miałem wrażenie, że tam dość powszechnie traktowano władców jako część... środowiska naturalnego. Tak jak przyroda niszczy czasem człowieka i jego mienie (wybuchy wulkanów, trzęsienia ziemi, powodzie, huragany), tak samo wielki władca ma prawo mordować ludzi. Byle tylko z tym nie przesadził! Podobne myślenie było kiedyś obecne także na Zachodzie. Ale bardzo dawno temu. Od wieków w Europie władców rozlicza się z ich uczynków jak zwykłych ludzi. Nie traktuje się ich jak element przyrody, której się nie krytykuje, bo nie ma charakteru osobowego.



Ważnym wydarzeniem związanym z Polską była w Armenii lat 1961–62 (a więc w okresie, gdy przebywałem tam na studiach) sprawa *Listu do starego tureckiego znajomego*. Tekst pod tym tytułem opublikował

w polskim miesięczniku „Kierunki” (nr 47 z 26 listopada 1961 roku) publicysta znany z przyjaźni okazywanej Ormianom, Bohdan Gębarski (1905–1978). W swym *Liście* poruszał nierozliczoną przez społeczeństwo tureckie sprawę Ludobójstwa popełnionego na narodzie ormiańskim w Turcji w latach pierwszej wojny światowej. Władze sowieckie zabraniały Ormianom poruszania tej tematyki do czasów manifestacji zorganizowanych przez tysiące erywańczyków w roku 1965 z okazji 50. rocznicy owych tragicznych wydarzeń. Oficjalnie powoływano się na uregulowanie sporów rosyjsko-tureckich po 1918 roku, a nieoficjalnie chodziło o tłumienie wszelkich okazji do rozwijania uczuć patriotycznych, które nawet na bardzo niskim poziomie traktowane były w ZSRR jako przejaw nacjonalizmu. Tylko naród rosyjski nie mógł się narazić na taki zarzut.

Tekst Bohdana Gębarskiego dotarł do Armenii bardzo szybko i wzbudził wielkie zainteresowanie. Znany z patriotycznej postawy poeta Gevorg Emin (1919–98) dowiedziawszy się o obecności w Erywanii studenta z Polski uczącego się języka ormiańskiego (chodziło o mnie), znalazł mnie w akademiku i zwrócił się do mnie z prośbą o przetłumaczenie tego tekstu na język ormiański. Zgodziłem się, ale pod wpływem ludzi, którzy mi to odradzali strasząc, że mogę taki czyn przypłacić utratą prawa do kontynuowania studiów w Armenii, zrezygnowałem. Zrugął mnie za to później pan Emin i miał rację.

Rzecz była o tyle ciekawa, że w Polsce *List* Bohdana Gębarskiego nie budził (chyba) żadnych zastrzeżeń cenzury. Cóż mogło być złego w tekście broniącym godności jednego z narodów ZSRR? Inaczej to wyglądało, jak wspominałem, w ZSRR. Nie było mowy o oficjalnym przetłumaczeniu i publikacji w Armenii *Listu do starego tureckiego znajomego*. Przekład mógł znajdować czytelników tylko w obiegu „podziemnym”, nieoficjalnym. Niebezpiecznego zadania tłumaczenia z języka polskiego na ormiański podjęła się dzielna Polka, pani Maria Grocholska.

Urodziła się w polskiej rodzinie szlacheckiej mieszkającej w Sankt-Petersburgu. W czasie drugiej wojny światowej doszło do bardzo ciężkiego dla mieszkańców oblężenia Leningradu (tak się wtedy nazywała dawna stolica Rosji). Z powodu głodu władze sowieckie samolotami ewakuowały wielu mieszkańców tego wielkiego miasta w inne rejony ZSRR. Wśród ewakuowanych osób znalazła się także Maria Grocholska. Los przywiódł ją do Erywanii. Tu pokochała naród ormiański i nauczyła się dobrze jego języka. Dokonała przekładu po tym, jak ja zrezygnowałem. Podziwiam ją za to.

Miałem wtedy okazję poznać pani Grocholskiej. Odwiedziła mnie w moim pokoju w akademiku. Rozmawialiśmy po ormiańsku na jej życzenie. Widocznie krępowwała się słabej (być może) znajomości języka polskiego, a po rosyjsku nie chciała mówić jako pełna dumy Polka. Wspaniała postać. Wkrótce po przetłumaczeniu tekstu Gębarskiego na język ormiański pani Grocholska wyjechała na stałe do Polski. A za nielegalne kolportowanie tekstu *Listu do starego tureckiego znajomego* podobno kilka osób straciło pracę w Erywaniu. Takie chodziły „słuchy”.

Przekład ważnego dla Ormian, bo wspierającego ich dążenia do pociągnięcia Turcji do odpowiedzialności za Ludobójstwo 1915 roku, tekstu Bohdana Gębarskiego na język angielski ukazał się 30 czerwca 1962 roku w czasopiśmie *The Armenian Mirror-Spectator*.

Գրիգոր եպս. Չիֆթճեան,
Ուղևորութիւն
Ատրպատականի Հայոց
Թեմում.

Հայկական յուշարձանների
հետքերով, Թաւրիզ 2017

[Grigor / Krikor jeps. Cziftczjan, *Ugheworut^hjun At(y)rpatakani Hajoc T^hemum.*

Hajkakan huszarcanneri hetk^herow, T^hawriz 2017]

= b-p Grigor / Krikor Cziftczjan,
***Podróżowanie po Ormiańskiej
Diecezji Atropateny.
Śladami ormiańskich zabytków,
Tebriz 2017***

Andrzej Pisowicz

Na odwrocie strony tytułowej prezentowanej tu książki zamieszczony został napis wskazujący na podległość hierarchiczną jej autora, biskupa Grigora (Krikora) Cziftczjana, zwierzchnika diecezji Atropateny (płn. zachodni Iran) Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego (AKO), wobec katolikosa (patriarchy) Wielkiego Domu Cylicji rezydującego w Antelias (Liban). Zdjęcie tego patriarchy, którym obecnie jest



Aram Pierwszy (prywatnie: Bedros Keszisjan), widnieje na kolejnej stronie, przed zdjęciem biskupa G. Cziftcziana. Ten ostatni niedawno (28 września 2020 r.) został podniesiony do rangi arcybiskupa decyzją Arama Pierwszego, któremu podlega część wiernych należących do Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego, m.in. Ormianie irańscy (a także część Ormian zamieszkujących w USA).

Na odwrocie strony tytułowej została także zamieszczona informacja o finansowym wsparciu udzielonym dla publikacji książki przez dobroczynną parę małżeńską Hamazaspa i Sedę Woskanianów, którzy także są fundatorami jednego z budynków kompleksu architektonicznego centrum diecezjalnego Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego Atropateny w Tebrizie (perska forma nazwy tego miasta to: Tabriz, ormiańska: T^hawriz). Państwo Woskanianowie mieszkają w Iranie. Ich wsparcie finansowe musiało być bardzo hojne sądząc po poziomie edytorskim książki arcybiskupa G. Cziftcziana i po znakomitym papierze zapewniającym świetną jakość bogatego materiału fotograficznego. Zdjęcie pary filantropów ormiańskich określonych jako „dobroczyńcy narodowi” (*Azgajin Barerar*) zostało zamieszczone tuż po fotografiach obu hierarchów AKO.

Autor książki, arcybiskup Grigor Cziftczian, pochodzi z Libanu. Jego językiem ojczystym jest język zachodnioormiański (stąd forma równoległa jego imienia: Krikor), ale objąwszy stanowisko zwierzchnika diecezji Atropateny w 2012 r. w irańskim Tebrizie, gdzie miejscowi Ormianie używają języka wschodnioormiańskiego (różniącego się od języka urzędowego niepodległej Republiki Armenii głównie klasyczną ortografią z V wieku), opanował ten drugi wariant współczesnego języka ormiańskiego (*aszcharabar*) i w nim zredagował swą książkę.

We Wstępie (str. 9-12) autor nawiązuje do starożytnych korzeni chrześcijaństwa ormiańskiego, którego pewne elementy wiążą się właśnie z ziemiami diecezji Atropateny (o tej nazwie będzie mowa niżej) leżącymi wokół jeziora Urmia (trzecie obok Wanu i Sewanu wielkie jezioro historycznej Armenii) na terenie Iranu. Mianowicie tradycja ormiańska działalności apostolską św. Judy Tadeusza a także męczeńską śmierć Sanducht, córki ormiańskiego króla z I wieku, która przyjęła chrześcijaństwo, kojarzy właśnie z terenami wschodnich kresów starożytnej Armenii, które dziś należą do Iranu. Do tych na pół legendarnych przekazów nawiązuje tradycja narodowego Kościoła Ormiańskiego, który określa się mianem Apostolskiego (po ormiańsku: *Arrakelakan*).

Autor przypomina dalej (str. 10) o ważnych zmianach demograficznych, jakie zaszły na tych ziemiach w pierwszej połowie XIX wieku

w następstwie przesuwania się na południe granicy Rosji. W 1828 r. perskie chanaty nachiczewański i erylwański (historyczne ziemie Armenii) zostały włączone do Imperium Rosyjskiego. Spora część ludności ormiańskiej znalazła się w ten sposób na terenie bratniego państwa chrześcijańskiego, w którym nie obowiązywały zasady Koranu uznające ludność niemuzułmańską za stojącą pod względem prawnym na drugim miejscu, gorszym niż miejsce dominującej ludności muzułmańskiej.

Po zawarciu w lutym 1828 r. traktatu Turkmanczajskiego, który wprowadzał pokój po wojnie rosyjsko-perskiej lat 1826–28, około 50 tysięcy Ormian mieszkających do tej pory na południe od rzeki Araks, w muzułmańskiej Persji (czyli w Iranie), postanowiło przenieść się na północ, na tereny, które znalazły się pod władzą carską, gdzie Ormianie cieszyli się takimi samymi prawami jak inne narody Imperium Rosyjskiego. W ten sposób liczba Ormian mieszkających nadal pod władzą szachów perskich znacznie się zmniejszyła. Domy pozostawione przez Ormian, którzy wyemigrowali do Armenii rosyjskiej, zostały zajęte przez ludność muzułmańską, mieszkającą także od dawna na terenach Azerbejdżanu irańskiego (dawna Atropatena, patrz niżej): przez Kurdów i Azerów (Azerbejdżan, Tiurków).

Ze Wstępu arcybiskupa G. Cziftcziana dowiadujemy się, że na terenie podlegającej mu diecezji Atropatenu zachowało się około dwustu (!) kościołów ormiańskich. Są w różnym stanie, niektóre popadają w ruinę, odkąd ludności ormiańskiej nie ma w pobliżu. Ale, na szczęście, jak podkreśla autor, władze Irańskiej Republiki Islamskiej respektują zalecenia UNESCO w zakresie konserwacji zabytków i łożą spore środki finansowe na odbudowę przynajmniej niektórych kościołów ormiańskich.

Najważniejszymi zabytkami (odnowionymi w ostatnich latach) są dwa zespoły klasztorne: św. Judy Tadeusza, apostoła (*surp Tatewosi wank*), św. Szczepana oraz kaplica Cor-cor (albo: Dzor-Dzor). Pierwszy, zwany po azerbejdżańsku *Kara Kilisa* (czyli „Czarny Kościół”) leży w pobliżu irańsko-tureckiej granicy w *shahrestanie* (powiecie) Czaldoran około 7 km na półn. wschód od miasteczka Sijah-Czeszme (na południe od miasta Maku).

Drugim zabytkiem jest zespół klasztorny pod wezwaniem św. Szczepana pierwszego męczennika (*surp Stepanos Nachawykaji wank*). Jest położony na południe od rzeki Araks, około 15 km na zachód od miasta Dzulfa, którego jedna część leży po stronie irańskiej, a druga – azerbejdżańskiej (ściślej: należącej do Azerbejdżanu „na odległość” Nachiczewańskiej Republiki Autonomicznej).

Kaplica pod wezwaniem Matki Boskiej (*Astwacacin*) zwana Cor-cor (albo: Dzor-dzor), po ormiańsku *Cor-cor maturr*, czyli „Kaplica (położona) w wąwozie”, znajduje się w pobliżu sztucznego zbiornika wodnego w *szahrestanie* Maku, w płn. zachodnim „rogu” Iranu. Została przeniesiona z pierwotnego miejsca o 600 metrów w górę w związku z budową tamy wodnej nad rzeką Zangmar w pobliżu miejscowości Baron, której nazwa nawiązuje do ormiańskiego wyrazu (pochodzenia francuskiego) *baron* o znaczeniu „pan”.

Autor informuje, iż owe trzy zabytki – reprezentowane przez trzy zdjęcia na dole pierwszej okładki – zostały szczegółowo opisane w wydanej w Erywaniu w 2012 r. monografii specjalisty-architekta, Armena Hachnazariana. Z tego względu nie będą one omawiane w książce arcybiskupa G. Cziftcziana, której celem jest opis mniej znanych i rzadziej odwiedzanych obiektów architektury sakralnej diecezji Atropatenu.

Na zły stan wielu zabytków ormiańskich leżących w okolicach opuszczonych przez Ormian wpłynęły zarówno czynniki biologiczne, takie jak trzęsienia ziemi, ulewy i burze śnieżne (niektóre tereny są tam wysoko położone), jak i negatywna działalność ludzka, m.in. zniszczenia dokonane rękami ... poszukiwaczy skarbów.

Arcybiskup G. Cziftczian zjeździł wzdłuż i wszerz tereny swej diecezji obejmującej płn. zachodni region Iranu (bez wybrzeża Morza Kaspijskiego). Tereny te pokrywają się z dwiema jednostkami administracyjnymi Iranu o nazwie *ostan* („prowincja”). Są to: Azerbejdżan Zachodni i Azerbejdżan Wschodni (p. niżej). Arcybiskup zwiedził i sfotografował wszystkie obiekty religijne pozostałe z czasów obecności Ormian na tych ziemiach.

Autor książki zastrzega się, że nie będąc znawcą architektury nie rości sobie pretensji do przedstawiania czytelnikowi za każdym razem naukowego opisu danego zabytku. Poprzestaje na popularnym ujęciu wzbogaconym własnym materiałem fotograficznym. Zdjęcia arcybiskupa G. Cziftcziana mogą jednak mieć niekiedy wartość jedyne go świadectwa istnienia jakiegoś obiektu, który w najbliższym czasie popadnie w całkowitą ruinę. Fotografie sporządzone przez autora zostały w książce zaopatrzone odpowiednim skrótem S. A. („archiwum własne”, po ormiańsku: *sepⁿakan archiw*).

Pod koniec wstępu do swej książki arcybiskup G. Cziftczian wyraża nadzieję, iż jego dzieło przyczyni się do wzbogacenia i utrwalenia wiedzy o wielowiekowej obecności Ormian w Atropatenu. Formułuje także gorące podziękowania pod adresem państwa Woskanianów za ich finansowe wsparcie, które umożliwiło wydanie książki w pięknej formie.



Warto w tym miejscu recenzji, przed opisem zawartości książki arcybiskupa G. Czifftcziana, objaśnić czytelnikom naszego Biuletynu pochodzenie nazwy geograficznej *Atropatena* wchodzącej w skład nazwy ormiańskiej diecezji. Otóż pochodzi ona od staroperskiego imienia typu „zyczącego”: *ātur-pāta-* znaczyło „strzeżony przez ogień”. A ogień był jednym z żywiołów czczonych przez wyznawców mazdaizmu (zoroastryzmu), starożytnej religii irańskiej. Takie właśnie imię nosił irański arystokrata, który po podboju Persji przez Aleksandra Macedońskiego pod koniec IV wieku przed nar. Chr. zachował w górskich okolicach jeziora Urmia pewną autonomię wobec rządzących Iranem Greków. Tę część Medii (terenów płn. zachodniego Iranu zaludnionych przez spokrewnionych z Persami Medów) Grecy określali terminem *Media Atropatene*, czyli „Media Atropatowa” (podlegająca Atropatowi). W staroormiańskim języku zwanym *grabarem* nazwa ta w V wieku przyjęła postać *At(y)rpatakān*, która do dziś tak samo mniej więcej brzmi we wschodnioormiańskiej nazwie Diecezji Atropateny: *At(y)rpatakāni Hajoc T'em*.

W języku nowoperskim nazwa ta rozwinęła się w formę *Āzarbājdžān* (częściowo pod wpływem pisma arabskiego, którym notują swój język Persowie). I mamy obecnie w płn. zachodnim Iranie dwie jednostki administracyjne (tzw. *ostany*) o nazwach: Azerbejdżan Zachodni (ze stolicą w Orumije) i Azerbejdżan Wschodni (ze stolicą w Tebrizie).

Nazwa ta (po polsku piszemy: *Azerbejdżan*) została przeniesiona na tereny Górskiego i Nizinnego Karabachu (Szirwanu), podbite przez Rosję w pierwszej połowie XIX wieku, dopiero po pierwszej wojnie światowej. Miasto Baku jest zatem stolicą Azerbejdżanu (który można by nazwać Północnym) niewiele ponad sto lat. Warto jednak pamiętać, że historycznie Azerbejdżan jest ziemią irańską, na której już w starożytności zamieszkiwali Ormianie, obok Medów, którzy z czasem, przyjąwszy islam, ulegli asymilacji z przybyłymi z Azji Środkowej T(i)urkami. To są teraz Azerowie (Azerbejdżanie) irańscy, których wyznanie (szyicki islam) oraz język turkijski (w szerokim sensie tego słowa) łączy z muzułmańskimi obywatelami posowieckiej Republiki Azerbejdżanu, pochodzącymi od starożytnych kaukaskich Albańczyków.



Wracając do prezentacji książki arcybiskupa G. Czifftcziana, dodam, że jej układ jest oparty na kryteriach geograficznych. Na stronach

13-430 opisane zostały zabytki ormiańskie leżące na następujących terenach diecezji Atropateny: Tebriz i jego najbliższe okolice, Daraszamb (miejscowość leżąca w pobliżu rzeki Araks w płn. zachodnim rogu Azerbejdżanu Wschodniego) i tamtejsze okolice, Artaz (dawna nazwa ormiańskiej prowincji leżącej w okolicach współczesnego miasta Maku w północnej części *ostanu* Azerbejdżan Zachodni), okolice miast Salmas(t) i Choj (oba leżą w pobliżu północnego krańca jeziora Urmia), wsie otaczające jezioro Urmia, okolice miast Maraghe i Mijandoab, Naghade, Mahabad, Ardabil.

Zabytkami tymi (nieraz zrujnowanymi lub mocno uszkodzonymi) są: kościoły i klasztory, kaplice, pustelnie. Poszczególne elementy architektoniczne tych zabytków (wśród nich „kamienie krzyżowe” czyli słynne *chaczkary*) zostały dokładnie opisane przez arcybiskupa G. Cziftcziana, który dokonał odpowiednich pomiarów wielkości tych obiektów i przytoczył treść inskrypcji zamieszczonych na murach świątynnych i nagrobkach. Niekiedy napisy te były wierszowane. Większość z nich została zredagowana po ormiańsku (*grabarem* albo po nowoormiańsku, także w dialekcie okolic Salmastu), ale są także napisy w językach: angielskim i francuskim. Wszystko to autor szczegółowo odtwarza na kartach swej książki.

Część ilustracji stanowią zdjęcia poszczególnych zabytków. Widać na nich nieraz arcybiskupa i towarzyszące mu osoby. Niektóre fotografie przedstawiają sceny nabożeństw odprawianych przez autora w odwiedzanym kościele. Są także zdjęcia meczetów zbudowanych na miejscu opuszczonych kościołów. Na uwagę zasługują zdjęcia przedstawiające Kurdów.

Wstrząsające wrażenie wywołuje zdjęcie archiwalne ze str. 150 przedstawiające osiem ściętych głów ormiańskich powstańców z terenów Turcji, którzy po pacyfikacji niepodległościowych ruchów ormiańskich z końca XIX wieku w 1896 r. uciekli do Persji i tam zostali zamordowani (w 1898 r.) na rozkaz lokalnego władcy we wsi Mahlam koło Salmastu. Była to tzw. „grupa Pochika”. Skąd inąd ważne miejsce zajmują napisy utrwalające pamięć *dasznaków*, którzy walczyli o wolną Armenię jeszcze po pierwszej wojnie światowej (str. 139-141) i musieli w 1922 r. uciekać z zajętej przez bolszewików Wschodniej Armenii do Persji.

Część zdjęć archiwalnych przedstawia skutki trzęsienia ziemi, które dotknęło okolice Salmastu w 1930 r.

Znaczna część materiału fotograficznego omawianej tu książki poświęcona jest cmentarzom ormiańskim diecezji Atropateny. Nieraz są to tylko zbiorowiska sarkofagów (p. str. 342). Nie ma na nich odrębnie stojących na grobach krzyży, do których przywykliśmy w Europie, bo w ich funkcji występowały w ormiańskiej tradycji odpowiednie płaskorzeźby umieszczane na ścianach wysokich kamieni nagrobnych (str. 318).

Wartość dzieła arcybiskupa G. Cziftcziana podnoszą archiwalne zdjęcia zamieszczane przy opisach różnych cmentarzy, np. zdjęcia XIX-wiecznego pisarza wschodnioormiańskiego Hakopa Melik-Hakopiana, znanego pod pseudonimem Raffi, oraz jego matki (str. 196-7).

Niektóre cmentarze ormiańskie zupełnie zatraciły swój charakter miejsc pamięci. Oto na przykład część cmentarza wsi Tumatar nowi mieszkańcy zamienili na... boisko do gry w siatkówkę (zdjęcie na str. 321).

W nowszych czasach na ormiańskich cmentarzach płn. zachodniego Iranu chowano także zmarłych Asyryjczyków (Aramejczyków), braci Ormian w chrześcijańskiej wierze.

Przy okazji warto tu wspomnieć, że w innych okolicach północnego Iranu (na trasie pomiędzy Morzem Kaspijskim a Teheranem) na ormiańskich cmentarzach byli chowani podczas drugiej wojny światowej... Polacy, którzy wypuszczeni z ZSRS dla uczestnictwa w walkach z Niemcami na innych terenach (Armia Polska na Wschodzie generała Andersa) umierali na skutek chorób w drodze na południe.

W omawianej tu książce zamieszczone są również zdjęcia z miejscowości, w których nadal mieszkają Ormianie. Widać na nich grupy ludzi uczestniczących w uroczystościach religijnych i spotkaniach towarzyskich (str. 393), pielgrzymów (str. 394). Są także archiwalne zdjęcie przedstawiające ormiańskie wesela, które się odbywały w wioskach historycznej Atropateny.

Swoistą tematykę wykazuje kilka oryginalnych, nietypowych zdjęć. Zaliczyć tu można na przykład fotografię przedstawiającą (na str. 290) dwóch Ormian ze wsi Rahwa, którzy przeżyli katastrofę „Titanica” z 1912 r. Folklorystyczną wartość ma fotografia ze str. 308 przedstawiająca pieczenie chleba w *tonirze*.

Współczucie budzi widok nagrobka Ormianina ze wsi Digale, który poległ na wojnie irańsko-irackiej w 1987 r. (str. 326). Za to radość może wywołać ewentualne znalezienie kogoś znajomego na zbiorowych zdjęciach młodzieży szkolnej (z lat 1945, 1956-7, 1968) na str. 409-411.

Końcówką część książki arcybiskupa G. Cziftcziana (str. 443-487) zajmują jego artykuły naukowe o następującej tematyce:

„Relikwie znalezione w klasztorze św. Szczepana Pierwszego Męczennika w okolicy miasteczka Daraszamb (p. wyżej)”

„Pięć średniowiecznych *chaczkarów* znalezionych we wspomnianym wyżej klasztorze”

„Kamienna noga posągu przedstawiającego jakieś starożytne bóstwo pogańskie (znalezisko z terenów otaczających kompleks klasztorny położony wokół kościoła św. Tadeusza, p. wyżej)”

„Szczątki domu, w którym mieszkał w XVII wieku w Tebrizie (dzielnica Kala) historiograf Arakel Dawriżeci (po polsku wyszło w 1981 r. tłumaczenie: Arakel z Tebrizu, *Księga dziejów*)”

„Osiedle Bakurakert w Marandzie (miasto położone na płn. zachód od Tebrizu), w którym zmarł król starożytnej Armenii Artaszes II (rok 20 przed nar. Chr.)”

„Wielka twierdza Tebrizu (tzw. *Ark*), w której był kiedyś (na początku VII wieku) „trzymany w niewoli” fragment Krzyża Świętego (na którym zmarł Chrystus)”

„Turkmanczaj – miejscowość, w której w 1828 r. podpisany został ważny dla losów narodu ormiańskiego traktat pokojowy (między Rosją i Persją)”; na str. 476 zamieszczone są ciekawe reprodukcje: (1) obrazu przedstawiającego zawarcie traktatu persko-rosyjskiego w Turkmanczaju (ręce sobie podają: perski następca tronu Abbas-Mirza oraz rosyjski feldmarszałek Iwan Paskiewicz, znany później z brutalnych rządów w Królestwie Polskim należącym do Rosji), (2) portretu Iwana Paskiewicza oraz (3) portretu Aleksandra Gribojedowa, zabitego przez tłum mieszkańców Teheranu,

„Konsulat turecki w Tebrizie, w którym był więziony Baladżan (Ceruni Harutiunian), p. przekład tego tekstu w niniejszym numerze „Biuletynu OTK”.

Ostatnim tekstem autorstwa arcybiskupa G. Cziftcziana jest „Zamiast posłowania” (*P^oochan werczabani*, str. 491-512). Przedstawia on wieloetniczność stolicy diecezji Atropatenu – Tebrizu. Większość mieszkańców tego miasta stanowią turkojęzyczni Azerowie (Azerbejdżanie). Sporo jest tu także Kurdów. Są wreszcie, oprócz Ormian, także Persowie.

Wartościową, bogatą w różnorodny materiał informacyjny i ilustracyjny książkę arcybiskupa Grigora Cziftcziana zamykają indeksy ułatwiające znalezienie poszukiwanych informacji oraz bibliografia

wykorzystanych źródeł pisanych (najstarsze pochodzi z 1842 r.). Indeksy i bibliografia zajmują strony 513-540.

Na zakończenie tej recenzji, zdecydowanie pozytywnej wobec zawartości książki arcybiskupa G. Cziftcziana, dodam informację, iż jej autor planuje podróż do Europy w maju 2021 r. Jeśli na to pozwoli sytuacja związana z szalejącą obecnie (jesień 2020 r.) epidemią COVID-19, będziemy go mogli zobaczyć i usłyszeć w Krakowie na spotkaniu poświęconym prezentacji omówionej tu bardzo wartościowej i pięknej książki.



Arcybiskup Grigor (Krikor) Cziftczian

O tym, jak Baladżan uzyskał azyl polityczny w konsulacie tureckim Tebrizu

[Tekst ze stron 481-487 książki abpa G. Czifcziana pt. *Podróżowanie po Ormiańskiej Diecezji Atropateny. Śladami ormiańskich zabytków*, Tebriz 2017; patrz recenzja Andrzeja Pisowicza w niniejszym numerze „Biuletynu OTK”]

Arcybiskup Grigor (Krikor) Czifczian

Kompleks zabudowań ormiańskiego centrum Diecezji Atropateny (Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego) znajduje się w najstarszej, środkowej części Tebrizu (płn. zachodni Iran). W pobliżu wznoszą się tam, wśród wielu starych domów, takie budowle jak m.in. Twierdza (o nazwie: *Ark*) i Bazar (zadaszone centrum handlowe). Szczególną uwagę poświęcają tym zabytkom miejscowe (irańskie) władze: Państwowy Instytut Dziedzictwa Kulturalnego (*ostanu* Azerbejdżan Wschodni) oraz magistrat Tebrizu.

Badaczy dziejów walk niepodległościowych Ormian, w szczególności zaś tych historyków, którzy śledzą przemieszczanie się (w przeszłości) odważnych powstańców ormiańskich, chyba najbardziej zainteresuje niniejsza krótka relacja związana z budynkiem dawnego konsulatu tureckiego. Budynek ten znajduje się w pobliżu centrum ormiańskiej Diecezji Atropateny. W owym konsulacie uzyskał kiedyś azyl polityczny niejaki Baladżan. To żartobliwe przezwisko, znaczące tyle co „dzieciak”, nosił Ceruni Stepan Harutiunian, znany także jako „fotograf Stepan”.

Odkąd przybyłem do Tebrizu (w 2012 r.), pozostaję pod wrażeniem różnych starych budowli tego miasta, zarówno tych, które wznoszą się przy jego głównych alejach, jak i tych otoczonych ze wszystkich stron innymi zabudowaniami. W obrębie obiektów związanych z obecnością Ormian w Tebrizie najbardziej mnie zainteresował, oczywiście, kompleks budowlany centrum naszej diecezji. A oprócz tego, m.in., tzw. Kamienny Gmach (*Karaszenk*), „Barona Awaka”, ormiańskiej dzielnicy Tebrizu.

Na płu. zachód od naszej siedziby Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego, tuż za rogiem, stoi budynek, w którym mieszka teraz kilka rodzin. W przeszłości mieścił się tu konsulat turecki. Dla uniknięcia śmierci schronił się w nim kiedyś na pewien czas, jako azylant polityczny, Ceruni Stepan Harutiunian. Był on członkiem oddziału zbrojnego dowodzonego przez Sarkisa Kukuniana (1863–1913). Zesłany na Syberię jako katorżnik, Harutiunian cudem stamtąd uciekł i dotarł do Tebrizu.

Gdy czytałem wydane w Bejrucie w 1956 r. wspomnienia Malchasa¹ poświęcone jego wyprawie do Persji, moją uwagę zwróciły informacje o niejakiem „fotografie Stepanie”. Tak czasem nazywano wspomnianego wyżej Ceruniego Stepana Harutiuniana, znanego także pod powstańczym pseudonimem Baladżan („Dzieciak”).

W 1890 r. w Tyflisie (obecnie stolica Gruzji: Tbilisi) powstała organizacja pod nazwą Ormiańska Federacja Rewolucyjna, znana jako *Dasznakcutjun*².

[W 1894 r. w Turcji nasiliły się prześladowania Ormian, A.P.] Studiujący w Sankt-Petersburgu Ormianin, *dasznak*, Sarkis Kukunian, zorganizował tajny oddział zbrojny, który zamierzał udać się do Turcji, by tam wspierać represjonowanych rodaków. Dzielni bojownicy tego oddziału pochodzili z różnych regionów. Wśród nich znalazł się także Baladżan.

Jednakże władze rosyjskie uważnie śledziły działalność ormiańskich tajnych partyzantów planujących udanie się do Turcji i przy samej granicy rosyjsko-tureckiej oddział Kukuniana został otoczony przez rosyjskich żołnierzy. Doszło do strzelaniny, w której zginęło kilku Ormian. Paru uciekło, a reszta poddała się i została uwięziona w Karsie³. W procesie sądowym ormiańscy powstańcy zostali skazani na katorgę i zesłani

1 Malchas – pseudonim zachodnioormiańskiego pisarza, publicysty i działacza społecznego, Ardaszesa Howsepiana (1877–1962). Pochodził z Trapezuntu (płu. wschodnia Turcja). Był działaczem Ormiańskiej Federacji Rewolucyjnej „Dasznakcutjun” (p. przypis 2). Długie lata spędził na emigracji w USA. Jego głównym dziełem literackim jest sześciotomowa powieść pt. *Zartok* („Przebudzenie”). Została przetłumaczona na język angielski i wydana w USA w roku 2015 pt. *Awakening*. Abp G. Cziftczian powołuje się na wspomnienia Malchasa wydane w dwóch tomach pt. *Abrumner* („Przeżycia”) w Bejrucie w 1956 r.

2 *Dasznakcutjun* znaczy po ormiańsku „związek, sojusz”. Partia o tej nazwie istnieje i działa do dziś w Armenii i w diasporze. Jej pełną nazwę ormiańską *Haj Heghapochakan Dasznakcutjun* Simon Payaslian w swej książce zatytułowanej *The History of Armenia* (New York, 2007, str. 120) oddaje po angielsku słowami: Armenian Revolutionary Federation. Członkowie tej partii są nazywani „dasznakami”.

3 Miasto Kars w wiekach IX–X było stolicą niepodległego księstwa ormiańskiego. W latach 1877–1918 podlegało Rosji. Obecnie znajduje się na terytorium należącym do Turcji.

na Syberię jak zwykli przestępcy kryminalni. Jednym ze skazańców był przyszły „fotograf Stepan”. Znalazł się na Sachalinie. Przez lodowate wody otaczające tę wyspę na tratwie podpłynął pewnego dnia do japońskiego statku rybackiego i w ten sposób uwolnił się od katorżniczych prac.

Z Japonii Baladżan udał się do Ameryki, do San Francisco. Tam jednak los znów się od niego odwrócił. Był już rok 1898. Właśnie wybuchła wojna hiszpańsko-amerykańska. Z racji charakterystycznej dla Ormian ciemnej karnacji Baladżan (czyli Ceruni Harutiunian) został uznany za hiszpańskiego szpiega i musiał z Ameryki uciekać.

Wrócił zatem do Japonii, skąd udał się do Indii. Tam postarał się o perski paszport i statkiem handlowym ruszył w stronę Egiptu, do Aleksandrii, gdzie poznał pewnego Ormianina, który mu podarował egzemplarz czasopisma noszącego tytuł „Droszak” (po ormiańsku: „sztandar, chorągiew”). Był to organ prasowy partii Dasznakcutjun (nastawionej na walkę niepodległościową przeciwko Turcji, A. P.).

Nasz bohater wsiada w Aleksandrii na statek płynący do Rosji, do Batumi. Statek zatrzymał się na krótki postój w Stambule. Baladżan postanowił skorzystać z okazji, by zwiedzić to miasto. Czuł się bezpiecznie, bo miał paszport perski. Urzędnik turecki zrewidował go jednak i w kieszeni naszego podróżnika znalazł... ormiańską gazetę „Droszak”. Baladżan natychmiast został aresztowany i osadzony w tureckim więzieniu jako buntownik. Udało mu się, na szczęście, odzyskać wolność na skutek interwencji miejscowego konsula perskiego. I Baladżan wsiadł na następny statek płynący do Batumi.

Stamtąd udał się do Erywanii, gdzie spędził kilka dni, po czym – z perskim (irańskim) paszportem przekroczył granicę rosyjsko-perską i dotarł do Tebrizu. Tam otworzył zakład fotograficzny pod swym drugim imieniem (Stepan). Utrzymywał się z fotografowania swych klientów. Jednocześnie prowadził działalność patriotyczną jako aktywny członek komitetu centralnego lokalnego oddziału wspomnianej wyżej ormiańskiej partii Dasznakcutjun.

Malchas (p. przypis 1) miał adres zakładu fotograficznego Stepana (Harutiuniana) i wiedział, którędy ma się kierować do niego w gościnę po przekroczeniu granicy rosyjsko-perskiej w (starej) Dżulfie. Z Dżulfy Malchas pojechał konnym wozem do miasteczka Sufian, a stamtąd po trzech-czterech godzinach dalszej jazdy dotarł do Tebrizu (obecnie jazda samochodem z Sufianu do Tebrizu nie zabiera więcej niż czterdzieści minut).



Udało mi się zidentyfikować miejsce, w którym znajdował się (w Tebrizie) na początku XX wieku zakład fotograficzny Stepana. Chodzi mianowicie o odcinek bazaru zwany teraz „Pasażem Imama” (dawniejsza nazwa: *Pasaż-e Pahlawi*) w dzielnicy leżącej koło Twierdzy tebryskiej (*Ark*) o nazwie *Kala*. Obecnie dom, w którym mieścił się zakład fotograficzny Stepana, jest zamknięty z powodu zmiany właściciela albo ze względu na prace remontowe.



W jednym z budynków Diecezji Atropateny Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego w Tebrizie przechowywane jest biurko Baladżana (Ceruni Stepana Harutiuniana). Trzeba je uznać za naprawdę luksusowy mebel. Skonstruowano go z drewna złocistego koloru. Ma dziewięć szuflad od strony osoby siedzącej za biurkiem i dwie otwarte wnęki obok. Dla młodych pokoleń mebel ten stanowi cenny zabytek przypominający postać Ormianina, który całe swoje dorosłe życie poświęcił walce o niepodległość ojczyzny. Życie zakończone tragiczną śmiercią na szubienicy.



Nasz bohater odegrał ważną rolę w wydarzeniach związanych z irańską rewolucją konstytucyjną (lata 1906-11). Jednakże w 1911 roku jego życie doznało wstrząsu. Od północy, przez (starą) Dżulfę, do Tebrizu wkroczyły wojska rosyjskie i zaczęły się wtrącać w wewnętrzne sprawy Iranu (Persji). Siejąc postrach Rosjanie ogłosili listę osób, które miały zawisnąć na szubienicach przy tebryskiej Twierdzy (*Ark*).

Na owej liście znalazł się, jako „uciekiniar” (z Rosji), między innymi Baladżan. Zdołał jednak się schronić w konsulacie tureckim, gdzie poprosił o azyl polityczny. Dowiedziawszy się o powieszeniu tych Ormian, których Rosjanie uznali za „uciekiniarów” (bo kiedyś mieszkali w Armenii rosyjskiej), Baladżan postanawia opuścić Tebriz. W przebraniu poganiacza mułów dołącza do karawany, z którą dociera do Mosulu (obecnie – płn. Irak, A. P.). Tam nabył osła i na jego grzbiecie udał się do miasta Wan (w Turcji, w pobliżu jeziora o tej samej nazwie, A. P.).

Wybuch pierwszej wojny światowej zastaje Baladżana w Karinie (turecka nazwa miasta: Erzurum). W lipcu 1914 r. rozpoczął się tam ósmy

ogólny zjazd partii Dasznakcutjun. Tureccy politycy z partii Ittihad („Jedność”) przystępują do prześladowania działaczy ormiańskich. Jedną z pierwszych ofiar był Ceruni Stepan Harutiunian, znany pod pseudonimem Baladżan. Został powieszony w Erzurumie. Szubienica okazała się zatem rzeczywiście jego tragicznym przeznaczeniem. Robił, co mógł, by się wymknąć śmierci przez powieszenie, ale nie zdołał jej uniknąć.



Budynek dawnego konsulatu tureckiego w Tebrizie, w którym Baladżan znalazł czasowe schronienie, znajduje się w odległości zaledwie dziesięciu metrów od siedziby władz naszej ormiańskiej Diecezji Atropateny. Z pewnością budynek ten chroni w sobie jeszcze atmosferę rozterek wewnętrznych i zmartwień, które w nim gnębiły Baladżana. To w tym miejscu snuł plany opuszczenia Tebrizu i rozmyślał na temat przeciwieństw dzielących ściany konsulatu tureckiego (przedstawicielstwa państwa wrogiego wobec Ormian) od jego poglądów narodowo-politycznych.

Obecnie budynek dawnego konsulatu tureckiego w Tebrizie jest zwykłym domem mieszkalnym. Stojąc pod nim słyszy się hałasy dziecięce i rozmowy toczone przez dorosłych. Odgłosy te nie tłumią jednak echa stukania ciężkich butów Baladżana, które się tu rozlegało przeszło sto lat temu, gdy jako poganiacz mułów dołączał do karawany podążającej do Mosulu. Nie wiedział jeszcze wówczas, nieszczęsny, że nie uda mu się uniknąć szubienicy. A taki właśnie los go czekał: męczeńska śmierć, którą dzielił na odległość z ideowymi braćmi, patriotami ormiańskimi z oddziału Sarkisa Kukuniana. Wielu z nich straciło siły w marszu na Syberię albo później zakończyło życie w katorżniczej pracy przy wyrobie lasów.

(Z języka ormiańskiego przetłumaczył Andrzej Pisowicz)

[Artykuł powyższy ilustrowany jest, w książce abpa G. Cziftcziana, dziewięcioma zdjęciami zaczerpniętymi z archiwum własnego autora, a także z cytowanej przez niego książki Malchasa pt. *Abrumner* („Przeżycia”). Na niektórych z nich widoczni są bohaterowie tekstu: Sarkis Kukunian oraz Ceruni Stepan Harutiunian.]

List otwarty

W związku z wybuchem wojny o Górski Karabach pod koniec września 2020 roku, środowisko Ormian polskich zwróciło się z prośbą do władz RP o podjęcie działań mających na celu przywrócenie pokojowej współegzystencji w regionie Kaukazu Południowego.

W imieniu sygnatariuszy publikujemy treść listu otwartego. Dodajmy, że pod apelem podpisali się przedstawiciele świata nauki i kultury, dyplomaci, duchowni, publicyści, działacze polonijni, przedstawiciele życia społecznego, w tym również członkowie Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego.

Zwracamy się z apelem do władz Rzeczypospolitej Polskiej o podjęcie niezwłocznych działań w sprawie pomocy dla Arcachu (tak Ormianie nazywają Górski Karabach).

Apelujemy również do władz Rzeczypospolitej Polskiej o poruszenie sprawy na forum międzynarodowym, o podjęcie działań na rzecz wypracowania trwałego i sprawiedliwego rozwiązania politycznego w sprawie konfliktu o Arcach, które zagwarantują ochronę ludności cywilnej oraz dóbr kultury (ze szczególnym uwzględnieniem dziedzictwa chrześcijańskiego).

W trakcie niedawno zakończonych działań zbrojnych Wysoka Komisarz Narodów Zjednoczonych do spraw Praw Człowieka zwracała uwagę na możliwość popełnienia przez Azerbejdżan zbrodni wojennych z powodu masowych ataków na ormiańską ludność cywilną. Szczególny niepokój wzbudzają wspomnienia roku 1915, gdy Turcy zapoczątkowali ludobójstwo na Ormianach (około 1,5 miliona zamordowanych) oraz Grekach i Asyryjczykach (łącznie około 1,5 miliona ofiar), a także przełomu lat 80 i 90. ubiegłego wieku, gdy pogromów na Ormianach (m.in. w Baku i Sumgaicie) dopuszczali się Azerowie. Na uwagę zasługuje też retoryka czołowych polityków Azerbejdżanu, określających Ormian mianem „chrześcijańskich psów”. W 2005 roku, w 90. rocznicę ludobójstwa popełnionego na ludności ormiańskiej w Turcji podczas I wojny światowej, Sejm Rzeczypospolitej Polskiej podjął uchwałę, w której czytamy m.in., że „Pamięć o ofiarach tej zbrodni i jej potępienie jest moralnym obowiązkiem całej ludzkości, wszystkich państw i wszystkich ludzi dobrej woli”.

Pojawiające się w mediach informacje o tureckim wsparciu dla Azerbejdżanu przywołują wspomnienia tragicznych dla Ormian wydarzeń. W sytuacji nieuregulowania statusu Arcachu, o czym mowa

m.in. w zasadach madryckich wypracowanych przez Grupę Mińską Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, uzasadnienia nabierałyby obawy dotyczące kolejnego ludobójstwa (jako tzw. czystek etnicznych). Korespondenci potwierdzają również obecność w Azerbejdżanie terrorystów i najemników m.in. z Syrii, Libii, Afganistanu i Pakistanu.

Stanowczo podkreślamy, że łączy nas głęboki sprzeciw dla rozstrzygnięcia konfliktu na drodze zbrojnej, dla godzących w prawa człowieka działań Azerbejdżanu (wspieranego przez Turcję i bojowników tzw. Państwa Islamskiego).

Śmierć niewinnych ofiar, ból i cierpienie ludności cywilnej, znaczna liczba ciężko rannych, tysiące uchodźców opuszczających ojczystą ziemię (w tym przerażonych dzieci i kobiet), obracające się w gruzy kościoły, szpitale, szkoły i domy – to wojenne obrazy, które ze łzami w oczach przywołują tylko najstarsi Polacy. Jednak niecałe trzy tysiące kilometrów od Polski jest to obecna rzeczywistość, wojenny dramat rozgrywał się w ostatnich tygodniach na oczach całego cywilizowanego świata.

W obliczu poważnego kryzysu humanitarnego konieczne jest podjęcie działań skutkujących uruchomieniem wszelkiej możliwej w naszych warunkach państwowej pomocy (szczególnie humanitarnej) dla ofiar działań wojennych prowadzonych na terenie Arcachu.

W ostatnim czasie świat obiegały informacje o agresji Azerbejdżanu, o eskalacji konfliktu między Azerami a Ormianami, o kolejnych ofiarach wojny, ale dla polskich Ormian – obywateli Rzeczypospolitej Polskiej – nie były to tylko zwykłe komunikaty medialne, to przecież nieraz cierpienie ich bliskich, rodaków, przyjaciół i znajomych.

Pamiętajmy, że Ormianie w czasie siedmowiekowej obecności w nowej Ojczyźnie nigdy nie zapomnieli o swych korzeniach, stali się najwierniejszą mniejszością w państwie polskim, mawiano nawet (nie bez racji), że „Ormianin to podwójnie Polak”. Mjr Walerian Tumanowicz (uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, wojny obronnej 1939 r. i oficer Armii Krajowej, żołnierz niezłomny, zamordowany na mocy komunistycznej zbrodni sądowej w 1947 r.) podczas procesu dumnie powiedział: „z krwi jestem Ormianinem, z duszy i przekonañ Polakiem”. Słowa Bohatera podzielały i dzielają tysiące Polaków mających ormiańskie korzenie.

Warto podkreślić, że w Armenii – państwie, które jako pierwsze na świecie przyjęło chrześcijaństwo (w roku 301) – mieszkają również Polacy (część spośród naszych rodaków działa aktywnie w Związku Polaków w Armenii „Polonia”).

Światowi przywódcy w sprawie przedmiotowych wydarzeń wypowiadają nie tylko ważne słowa, podejmują również odpowiednie działania, czego przykładem mogą być między innymi reakcje Prezydenta Stanów Zjednoczonych oraz Prezydenta Republiki Francuskiej.

„Dla triumfu zła potrzeba tylko, żeby dobrzy ludzie nic nie robili” – ponadczasowa myśl Edmunda Burke’a winna nam towarzyszyć również w sprawie Arcachu. Porozumienie, które nie określa statusu Arcachu grozi postępującą destabilizacją regionu oraz rozprzestrzenieniem konfliktu na tzw. Zakaukaziu, co może prowadzić do poważnych i nieprzewidywalnych konsekwencji, będąc zagrożeniem dla bezpieczeństwa międzynarodowego. Z tychże powodów konieczne jest podjęcie zdecydowanych działań, które doprowadzą do międzynarodowych gwarancji bezpieczeństwa.

Ufamy, że władze Rzeczypospolitej Polskiej podejmą wszelkie możliwe działania, których efektami będą: odpowiednia reakcja wspólnoty międzynarodowej oraz pomoc dla ofiar działań wojennych.

dr hab. Michael ABDALLA, prof. UAM

ks. prof. dr hab. Paweł BORTKIEWICZ

prof. Marek Jan CHODAKIEWICZ

prof. dr hab. Antoni DUDEK, wykładowca UKSW

dr Bartłomiej GRYSA, orientalista, dziennikarz

Liana HARUTYUNYAN, Prezes Związku Polaków w Armenii „Polonia”

ks. Tadeusz ISAKOWICZ-ZALESKI

prof. dr hab. Grzegorz KUCHARCZYK

Michał LISTKIEWICZ, były Prezes PZPN, sędzia finału mistrzostw świata, przewodniczący Komisji Sędziów Armenii, filolog, tłumacz, felietonista

prof. dr hab. Stanisław MIKOŁAJCZAK, Przewodniczący AKO w Poznaniu

prof. dr hab. Witold MODZELEWSKI

prof. dr hab. Aleksander NALASKOWSKI, UMK Toruń

ks. prof. dr hab. Józef NAUMOWICZ

Jadwiga NOWAKOWSKA, reżyser filmu „Kraj wojny i marzeń”

Jerzy Marek NOWAKOWSKI, były ambasador RP w Armenii

dr Jakub OSIECKI, Sekretarz Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego

prof. dr hab. Andrzej PIŚOWICZ

Witold REPETOWICZ

Marek RESZUTA, b. chargé d'affaires a.i. oraz Kierownik Referatu Polityczno-Ekonomicznego Ambasady RP w Erywaniu

prof. dr hab. Krzysztof STOPKA

Łukasz WARZECHA, publicysta

dr hab. Andrzej A. ZIĘBA, Dyrektor Ośrodka Badań nad Kulturą Ormiańską w Polsce, Polska Akademia Umiejętności”.

prof. dr hab. Jan ŻARYN, IH UKSW

List do redakcji

W książce autorstwa Krzysztofa Stopki i Andrzeja Zięby „Ormiańska Polska” na stronie 259 znajduje się informacja mówiąca o tym, że inicjatorem postawienia chaczkaru w Krakowie był ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. Jest to błędna informacja, którą proszę sprostować w „Biuletynie OTK”.

Historia powstania chaczkaru w wielkim skrócie przedstawia się następująco.

W kwietniu 2003 roku wizytę w Krakowie składa ówczesny Ambasador Republiki Armenii w Polsce dr Aszot Howakimian, któremu towarzyszyła moja osoba. W pierwszej kolejności Pan Ambasador złożył wizytę u Wojewody małopolskiego Jerzego Adamika a następnie udał się do urzędu Miasta Krakowa na spotkanie z Prezydentem Miasta prof. Jackiem Majchrowskim. Na miejscu okazało się, że Pan Prezydent musiał nagle wyjechać z Krakowa i Pan Ambasador zostanie przyjęty przez I Zastępcę Prezydenta. W trakcie rozmów Pan Ambasador zapytał, jaka byłaby możliwość upamiętnienia ludobójstwa Ormian w Krakowie. Odpowiedź padła nie wprost. Zostałem poinformowany, że w Krakowie nie tak łatwo znaleźć miejsce, gdzie można by było postawić chaczkar. Lokalizację i projekt musiałbym uzgodnić z Architektem Miasta i Plastykiem. W tej sytuacji stwierdziłem, że jest to niewykonalne ze strony Towarzystwa i postanowiłem skontaktować się z dr arch. Jackiem Chrząszczewskim członkiem OTK, który w tym czasie pracował w Wojewódzkim Urzędzie Ochrony Zabytków w Krakowie. Przedstawiłem całą historię z rozmowy u Wiceprezydenta Miasta Krakowa i poprosiłem o znalezienie miejsca, gdzie można będzie postawić chaczkar. Odpowiedź uzyskałem natychmiast. Najlepszym miejscem jest dziedziniec kościoła św. Mikołaja przy ul. Kopernika 9. Zapytałem, czy jest w stanie opracować projekt chaczkaru, na co otrzymałem pozytywną odpowiedź. Po dłuższej wymianie zdań ustaliliśmy, że porozmawiam z ks. Isakowiczem-Zaleskim, przedstawię problem i poproszę, aby porozmawiał z proboszczem ks. prałatem Antonim Sołtysikiem o możliwości postawienia monumentu upamiętniającego Ormian. Po jakimś czasie otrzymałem pozytywną informację, że jest taka możliwość, ale zgodę musi wydać Metropolita Krakowski ks. kardynał Franciszek Macharski. W międzyczasie J. Chrząszczewski przygotowywał wizualizację pomnika i jego usytuowanie. Z gotową koncepcją udaliśmy się na audyencję do ks. kardynała, która trwała kilka minut. Ks. kardynał po obejrzeniu

koncepcji od razu ją zaakceptował i powiedział, że z wielką przyjemnością dokona poświęcenia pomnika. Od tego momentu prace nabrały szybkiego tempa. Ustaliliśmy, że chaczkar powinien zostać odsłonięty na kolejną rocznicę ludobójstwa Ormian. Czasu pozostało bardzo mało. W międzyczasie na zaproszenie ks. Tadeusza przyjechał kamieniarz z Radomia z propozycją wykonania pomnika. Jednak nie podjął się zadania. Realizację monumentu w piaskowcu z Długopola koło Bystrzycy Kłodzkiej podjął się Stanisław Cekiera, właściciel zakładu kamieniarskiego w Dębniku koło Krzeszowic. 17 kwietnia 2004 r. nastąpiło uroczyste odsłonięcie i poświęcenie chaczkaru.

Z uszanowaniem
Adam Terlecki*)

*) Adam Terlecki – w latach 1990–2014 prezes Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego. Przyczynił się między innymi do założenia pisma (Biuletynu) OTK w roku 1993, do powstania sobotniej szkółki języka ormiańskiego w Krakowie (w roku 2004), wprowadził zwyczaj organizowania spotkań członków OTK w ostatnie poniedziałki miesiąca, na których wygłaszane były referaty promujące sprawy ormiańskie.

Recenzja książki „Stosunki polsko-armeńskie. Wybór dokumentów z wprowadzeniem”

Stosunki polsko – armeńskie. Wybór dokumentów

z wprowadzeniem, oprac. Kinga Stasiak, Wojciech Sz. Staszewski,
Anna Szarek-Zwijacz, Wydawnictwo Katolickiego
Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin 2017

Marian Banach

Pracownicy Katedry Prawa Międzynarodowego i Amerykańskiego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II przygotowali cenną pozycję. Zawiera ona teksty dokumentów przyjętych w stosunkach dwustronnych między Rzeczpospolitą Polską a Republiką Armenii.

Jak piszą sami autorzy w przedmowie „w zbiorze zamieszczono zarówno teksty umów międzynarodowych o charakterze bilateralnym jak też porozumienia dwustronne niebędące umową międzynarodową w rozumieniu Konwencji o prawie traktatów z dnia 23 maja 1969 r. [...] oraz wspólne deklaracje, które składają się na całokształt stosunków między państwami” (s.5). Są tu też zamieszczone dokumenty, które straciły już swoją moc obowiązującą, niemniej odegrały w swoim czasie ważną rolę.

Autorzy uznali, że teksty dokumentów należy poprzedzić wprowadzeniem, w którym piszą o kontaktach polsko – ormiańskich datujących się od bardzo dawna. Chodzi tu o kontakty o charakterze politycznym, gospodarczym, naukowym i kulturalnym. Ormianie od setek lat w tych wszystkich wymiarach współtworzyli rzeczywistość na ziemiach polskich. Na tym tle może budzić zdziwienie, że – w wyniku uwarunkowań politycznych – oficjalnie stosunki urzędowe polsko – ormiańskie ustanowione zostały dopiero ćwierć wieku temu: w roku 2017 przypadała 25. rocznica nawiązania stosunków dyplomatycznych pomiędzy Rzeczpospolitą Polską a Republiką Armenii (s.7). Tu jednak trzeba dodać, że pierwsza próba ich podjęcia zaraz po odzyskaniu niepodległości przez oba kraje, czyli w latach 1918–1919, zakończyła się z powodu jej utraty przez młodą Republikę Armenii, wcielonej do imperium sowieckiego.

Warto zapoznać się z genezą i rozwojem państwowości ormiańskiej, którą autorzy prezentują na łamach swej książki. Ich rozważania przybliżają czytelnikowi naród ormiański, który należy do najstarszych narodów świata.

Autorzy: Kinga Stasiak, Wojciech Sz. Staszewski, Anna Szarek-Zwicz piszą też o współczesnej Republice Armenii i jej problemach. Przybliżają m.in. status Nachiczewanu i Górskiego Karabachu.

Polsko – ormiańskie stosunki dyplomatyczne i traktatowe to kolejna część tej interesującej książki. „Punktem wyjścia do nawiązania współczesnych (po 1989 r.) oficjalnych stosunków polsko – armeńskich było uznanie przez Polskę Republiki Armenii jako państwa. Polski rząd dokonał tego poprzez wydanie w dniu 27 grudnia 1991 r. dokumentu odnoszącego się łącznie do 10 państw powstałych po rozpadzie ZSRR: uchwały w sprawie uznania przez Rzeczpospolitą Polską Republiki Armenii [...]” (s.24). Stosunki dyplomatyczne pomiędzy Polską a Armenią zostały nawiązane niecałe dwa miesiące później: w dniu 26 lutego 1992 r. Jak piszą autorzy przez kilka pierwszych lat oba państwa nie ustanawiały placówek dyplomatycznych na swoich terytoriach. Przełom w tej sprawie nastąpił w 1998 r., kiedy jako pierwsza (w dniu 6 kwietnia tego roku) uczyniła to Armenia... Polska ambasada w Erywaniu została ustanowiona z dniem 28 lutego 2000 r., ale rozpoczęła urzędowanie dopiero półtora roku później 13 czerwca 2001 r.... (s. 24–25).

Autorzy konkludują, że „dotychczasowy przebieg wydarzeń w ramach stosunków dyplomatycznych i traktatowych pomiędzy Polską a Armenią potwierdza przyjazne więzi łączące oba narody, będące podstawą współpracy w podstawowych dziedzinach stosunków międzypaństwowych” (s.26).

Jako interesujący się od lat problematyką Ormian, zwłaszcza Ormian polskich z dużym zaciekawieniem przeczytałem tę pozycję, a jako prawnik – internacjonalista z satysfakcją odebrałem publikację wielu dokumentów, niektórych mało znanych bądź w ogóle nieznanymi.

Warto zatem tę ciekawą pozycję wydawniczą odnotować (chwała KUL-owi), ale także rozpropagować w środowisku Ormian polskich. To też przyświecało mi podczas pisania tej recenzji.

SPIS TREŚCI

- 3 Od Redakcji
- 6 W. Repetowicz – Wojna o Arcach
- 13 M. Koszutski – Ś. P. Andrzej Krzeczunowicz 1930–2020. Wspomnienie
- 18 A. Pisowicz – Wspomnienie o Andrzeju Krzeczunowiczu
- 20 A. Gliński – Varia ormiańskie
- 25 M. Pilikowski – Axentowicz. Teodor Axentowicz
- 37 Pocztówki autorstwa Teodora Axentowicza
- 56 A. Pisowicz – Wspomnienia armenisty
- 74 A. Pisowicz – Recenzja z: G. Cziftczian, Podróżowanie po Ormiańskiej Diecezji Atropateny. Śladami ormiańskich zabytków
- 83 G. Cziftczian – O tym, jak Baladżan uzyskał azyl polityczny w konsulacie tureckim Tebrizu
- 88 List otwarty
- 92 A. Terlecki – List do Redakcji
- 94 M. Banach – Recenzja z: K. Stasiak, W. Sz. Staszewski, A. Szarek-Zwijacz, Stosunki polsko-armeńskie. Wybór tekstów z wprowadzeniem